

Nr 3 (78)
2019



ISSN 1732-1069



CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

W TYM NUMERZE: O JEŚNIENI W POEZJI JERZEGO HAJDUGI, ale WIERSZE także TOMASZA KORBANKA, BEATY P. KLARY, IRENY ZIELIŃSKIEJ, MARKA LOBO WOJCIECHOWSKIEGO, KATARINY LOVMEL, MARCINA ŚWIETLICKIEGO, ROMANY KASZCZYC, ADAMA KORZENIOWSKIEGO I MARKA WAWRZKIEWICZA – MAŁA PROZA ARTURA WODARSKIEGO i CZESŁAWA SOBKOVIKA, RECENZJE i OMÓWIENIA NOWYCH KSIĄŻEK LUBUSKICH, BEATY P. KLARY, IRENY ZIELIŃSKIEJ, MARKA WOJCIECHOWSKIEGO, ŁUCJI FICE, MARKA BUCHOLSKIEGO, ROMANA HABBASA, MARKA RATAJCZAKA, HANNY STECYSZYN i IWONY M. ŻYTKOWIAK – WIADOMOŚCI KULTURALNE i KRONIKA WYDARZEŃ EWY RUTKOWSKIEJ, KULTURA i PISARZE w BARLINKU i NA DWÓCH OSTATNICH STRONACH JAK ZWYKLE SATYRA: FELIETON Z ARCHIWUM KAZIKA FURMANA ORAZ WIERSZE FERDYNANDA GŁODZIKA i KOMIKS JACKA LAUDY. NA POCZĄTKU DWA WSTĘPNIKI: „SECESJA” JERZEGO ALSKIEGO I OD RED. NACZ. IRENEUSZA K. SZMIDTIA

Irena Zelińska

O GÓRACH, LUDZIACH I O ARTYŚCIE...

Zwykle szedł w górę
w błysku nieba
gdzie wszystko było tajemnicze
jak nowo poznana melodia
tuż przy jego uchu inni rozprawiali
o życiu, o śmierci
o człowieku

Słuchał

Rozdarty
na rozdartym płaszczu ziemi
oddychał
poza kardiogramem
swojej własnej piersi

Był zagubiony
i bardzo samotny

A mimo to nadal
wszyscy go okłaskiwali
chwaląc jego talent
wyobraźnię
i wytrwałość

Więc dalej
na najwyższy szczyt
wspinał się
gubiąc kształt
swojej
zielonej wsi

Nagle potknął się
o laurowy liść
strącony wiatrem
z czoła nieśmiertelnego
i stoczył się z wielkiej góry
jak puszysty głaz
w mrokiwość ziemi

Kiedy się ocknął
koło niego
nie było już
wiwatujących

Tylko kamienne niebo
i zranione gwiazdy...

Jerzy Alski

SECESJA

Kilkadziesiąt lat mojego życia to wiele zmien-nych. Zmienne nastroje i refleksje, zmienne zajęcia i lektury, zmienne pasje, zmienne metafory... Zmienne kobiety, dziewczyny, którym miałem szczęście towarzyszyć – wszystkie wspominam z uśmiechem, z niektórymi pozostaję nadal w przyjaźni. Wspominam o tym, bo tak jest naprawdę i te uśmiechnięte refleksy niech będą miarą mojej przyjaznej postawy do świata i zdarzeń. Tej postawie – przyjaznej – towarzyszyła pewna cecha, w sposób naturalny z niej wynikająca: ostrożność w formułowaniu ocen zmieniającego się wokół mnie świata. Zmiana wprowadzała inność, ale ta inność w żadnym wypadku nie wyzwalała we mnie pędu do waloryzacji: nowe nie było natychmiast lepsze ani natychmiast gorsze. Było inne – a na ocenę należało poczekać, bo przecież mogę o tym nowym jeszcze wszystkiego nie wiedzieć, nie znać w dostatecznym stopniu skutków, konsekwencji, nie znać w pełni wpływu, jaki nowość – zmiana – wywrze na życie moje i innych ludzi. Żyłem, otaczając swoje oceny żywoplotami pełnymi „mam nadzieję”, „być może”, „wydaje się” i było mi całkiem dobrze przechadzać się alejami zastrzeżeń i zawieszonych sądów. Co nie ostatnie: nie robiłem nikomu krzywdy, a wiadomo, jak wiele krzywd wyrządzić może pochopność sądów. Ale – do czasu. Na tę cechę też przyszedł czas zmiany i dlatego w tym miejscu uczynię zastrzeżenie. Cały ciąg dalszy jest oceną otaczającej mnie rzeczywistości absolutnie subiektywną, nie rości sobie praw do uogólnień ani nie jest próbą narzucenia go komukolwiek. Nie jest również lamentem. Zmieniło się i tyle. Ale tym razem własne zdanie mam. Stanowcze.

A winna jest „Muzyka w Raju” i Paradyż. Festiwal, którego co roku łaknę jak kania dżdżu, i miejsce,

cd. na str. 2



Patryk Kozyna, xxx.
Zdjęcie z wystawy
65-lecia GTF



OD RED. NACZ.

Moje pierwsze wybory

Dała mi Bozia dożyć od roku śmierci Piłsudskiego, idola i dowódcy ojca mojego Franciszka-legionisty (wszystkie gazety z pogrzebu na ławecie wypełniały dolną szufladę komody w sypialni rodziców), do dnia dzisiejszego, to i dała trochę nadmiaru aktywności w różnych dziedzinach i zawodach uprawianych przez te długie lata. Jeszcze studentem będąc, „wpadłem” w koleżeństwo z podejrzanyimi wolnomyślicielami politycznymi i próbowałem, ze szkodą dla nauki własnej, być reformatorem socjalistycznego stylu wychowania, m.in. studium wojskowego, współwydając pierwsze drukowane pismo studentów i młodych pracowników naukowych Politechniki Szczecińskiej, nazwane, pod wpływem mądrości wieszczka, „RAZEM młodzi przyjaciele”, a także organizując ekipę teatru satyrycznego „Skrzat”, w którym, jak inne tego typu zespoły w kraju, narażałem się permanentnie na „małobyt” z powodu donosów, wiadomo gdzie, prewencyjnej cenzury. W takim stanie dotrwałem do pierwszych swoich wyborów 20 stycznia 1957 r., w których jak wielu Polaków upatrywałem nadzieję na Ojczyznę wreszcie mądrą i sprawiedliwą, a nie jednopartyjną. Przypomnę, że wcześniej był Polski Październik i zmiana Ochaba na Gomułkę. I wtedy też dałem ciała, gdy ze swoim teatrem wyszliśmy na ulicę i na pace ciężarówki z pianinem i odpowiednią scenografią domagaliśmy się w ostrej satyrycznej agitce prezentowanej w wielu miejscach Szczecina usunięcia ludzi z partyjnego betonu, w tym znieuważonego rusofila marszałka Konstantego Rokossowskiego. Moim i naszym idolem był wówczas niepokorny członek wojewódzkiej egzekutywy, I sekretarz na Politechnice, Wit Drapich, który wymusił zgodę u władz na tę uliczną demonstrację artystyczną, a także bronił naszych tekstów przed nieuzasadnioną ingerencją cenzury. I to był mój pierwszy samodzielny wybór, bo na niego głosowałem w wyborach do sejmiku. Został posłem. W sejmiku zasiadał w Komisji Kultury i Sztuki oraz w Komisji Planu Gospodarczego, Budżetu i Finansów, a w kolejnej kadencji w Komisji Handlu Zagranicznego, Komisji Mandatowo-Regulaminowej, Komisji Skarg i Wniosków oraz w Komisji Nadzwyczajnej do rozpatrzenia projektu Ustawy o Radach Narodowych i Samorządzie Terytorialnym. Tak myślę, że właśnie dzięki mojemu poparciu i studentów zrobił swoistą karierę, bo wiele lat później był nawet wojewodą krakowskim.

Ale jego i nasza nadzieja spełzała na niczym. Otóż w kręgach decydentów partyjnych rozpoczęła się dyskusja dotycząca zmian w ordynacji wyborczej. Zmiany miały świadczyć o demokratyzacji i umacnianiu praworządności w kraju. Postulowano zapewnienie wyborcom możliwości tajnego głosowania (wprowadzenie kopert i kotar w lokalach wyborczych) oraz obecności mężów zaufania w toku wyborów i ustalania ich wyników. Miała być podawana również liczba głosów oddanych na poszczególnych kandydatów. Te kosmetyczne zmiany nie zmieniały faktu, że głosujący byli pozbawieni możliwości wyboru, a ich wpływ na dobór kandydatów był zwykłą iluzją. Jednak zapewnienie tajności głosowania pozwalało szermować hasłami o postępującej demokratyzacji ustroju. Praktyka przedwyborcza ujawniła swoje drugie, mniej radosne oblicze. Do głosu zaczęły dochodzić inne partie: ZSL, SD, Znak i podział mandatów przyszłego sejmiku mogłyby nie być w smak rządzącym, gdyż tylko w grudniu 1956 r. zanotowano liczne wrocie wystąpienia przeciwko kandydatom na posłów, w szczególności członkom PZPR. W Łodzi studenci zorganizowali masówkę na Politechnice, żądając umieszczenia na liście kandydatów przedstawicieli Politechniki oraz skreślenia z listy tow. Tatarówny (I sekretarz KW PZPR) oraz tow. Zambrowskiego. Podobne wiece zorganizowali studenci z Trójmiasta oraz Opola. W Słupsku protestowano w związku z nieumieszczeniem na liście kandydatów lokalnego działacza. W ulotce rozpowszechnianej w Katowicach napisano: „Do góry wyciągnięto z lamusa dawnego kolegę komunistę Gomułkę. Naród polski nie pójdzie na ten lep. Przy wyborach przekreśl na karcie wszystkich kandydatów”. Tuż przed wyborami Gomułka i Biuro Polityczne nagle zmienili strategię działania. Przedstawili nowy wariant zmian ordynacji wyborczej. Przewidywał on dopuszczenie większej liczby kandydatów niż posłów, przy czym głos oddany bez skreśleń był oddany na kandydatów umieszczonych na liście na pierwszych miejscach. Wprowadzenie miejsc mandatowych doskonale zabezpieczało ówczesne władze przed niespodziankami wyborczymi. Front Narodowy miał zadbać o to, aby na miejscach mandatowych umieszczono tych kandydatów, którzy powinni znaleźć się w sejmiku. Propaganda przedwyborcza zapewniała, że nowa ordynacja pozwala ludziom wybierać, a nie tylko głosować. Że ten kandydat, który cieszyć się będzie największym zaufaniem, zostanie wybrany. „Kto nie posiada szerokiego zaufania wyborców, do przyszłego Sejmu nie wejdzie” – obiecywał, o którego w Październiku ‘56 jak lew walczyłem, nowy I sekretarz KC Władysław Gomułka. Były to obietnice bez pokrycia, gdyż najbliższa przyszłość pokazała, iż ekipie Gomułki nigdy nie zależało na jakiegokolwiek zmianie zasad demokracji ludowej. „Głosujcie na pierwszych kandydatów. Oddawajcie kartki wyborcze bez skreśleń (...)” zwrócił się 9 stycznia 1957 r. z wezwaniem do narodu: „Nie skreślajcie żadnego kandydata Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej” – tym samym agitował za zlikwidowaniem wszelkiego współzawodnictwa wyborczego nawet w obrębie jednej zgłoszonej listy. Kierownictwo partii chciało doprowadzić do sytuacji, w której akt wyborczy kończył się w momencie układania list kandydatów. I ludzie jeszcze go poparli. W 90 proc. głosowali bez skreśleń, nie korzystając ze stolików za kotarami. Ja skorzystałem. Po raz pierwszy.

Ireneusz K. Szmidt

JERZY ALSKI



cd. ze str. 1

w którym szpalery rajszych jabłoni prowadzą do miejsc i przeżyć potrafiących ukoić największe niepokoje. Locatelli, Scarlatti, ksiączę Gesualdo, Kodeks z Robertsbridge – przyznaję, trochę mam fioła na punkcie muzyki sprzed wielu stuleci, co znowu nie znaczy, że nie istnieje dla mnie Depeche Mode, Nirvana czy Metallica. Musielibyście do mnie wpaść wieczorem; Domenico Scarlatti, Rolling Stones, Philip Glass – wcale często tak to biegnie. Ale „Muzyka w Raju” w Paradyżu jest ponad wszystko. A było tak:

Przyjechałem wcześniej, usiadłem na ławce w otoczeniu książkowych jabłoni, wyciągnąłem lekturę. Pojedynczy spacerowicze i dwie panie podążające ścieżką obok ławki. Wyedukowany w europejskich obyczajach uniosłem się nieco i powiedziałem: dzień dobry. Otrzymałem odpowiedź – taką samą. Oraz dwa uśmiechy. Dygresja: podróżując od lat po europejskiej prowincji, zostałem wycudzony, że w określonych sytuacjach nieznanymi ludźmi się pozdrawiają. Oczywiście nie na deptakach metropolii, ale jeśli są to dwie osoby mijające się na ścieżce? W tym kraju raczej można się spodziewać, że mijany, w odpowiedzi na pozdrowienie, prędzej napluje tamtemu na buty, niż pozdrowi, ale rezygnować nie należy. I oto otrzymałem odpowiedź, ozdobioną uśmiechem. Coś było inaczej i zacząłem być czujny.

Po godzinie szóstej u wejścia do kościoła zazwyczaj zaczyna formować się kolejka, poszedłem i ja. Rozmowy toczone były półgłosem i nikt nikomu nie przerywał. Gestykulacja była dyskretna. I co najbardziej zdumiewające – wszyscy mężczyźni byli w długich spodniach. Wszyscy, co do jednego! Nie mogłem tego samego powiedzieć o byłych pewnej filharmonii, w której byłem kilka dni wcześniej. Niechęć do medytacji nad otaczającymi mnie włochatymi parówami o wymiotnej estetyce wyngała mnie stamtąd podczas paury. Nie wrócę tam, nawet zimą. Wrażenie pozostanie już na zawsze.

Ktoś mógłby przypomnieć, że na dworze Ludwika XIV mężczyźni też odziewali się w spodnie, w gruncie rzeczy, krótkie. Tak, ale były one sporządzone z atlasu, pod kolanem najczęściej zdobione kokardą, łydki były osłonięte pończochami, zaś stopy opatrzone wyciętym obuwiem na słupku. Estetyka jakby kogucia, jak zauważył pewien dowcipny historyk. O tyle miał rację, że niemal każdy z tych barwnych kogutów gotów był w dowolnej chwili sięgnąć po szpadę. Współczesny mężczyzna (i nie wiem jak go nazwać – włościanin?) oparty na dwóch włochatych kielbachach zdolny jest co najwyżej dać z pięści w rzy. Metamorphoses – a niech to!

Podczas trzech wieczorów spędzonych w Paradyżu nie usłyszałem ani jednego słowa uchodzącego, według słowników, za obelżywe. Przyzwyczajenie wyniesione z trotuarów, pubów i szkolnych dziedzińców powodujące przekonanie, że zdanie, które nie zawiera słów rozpoczynających się od



siódmej, dziewiątej i trzynastej spółgłoski, nie ma racji bytu i powinno pozostać niezrozumiałe, zostało podczas tych wieczorów skutecznie obalone. Krzysztof Teodor Toeplitz, mój ulubiony erudyta epoki jakże minionej, sformułował kiedyś opinię, że w języku polskim funkcjonuje kilka rzeczowników i czasowników, za pomocą których można opowiedzieć wszystkie stany oraz sytuacje, w jakich człowiek może się znaleźć, kłopot w tym jedynie, że przy ich użyciu powstają opisy niesłychanie niekonkretne, oddające zaledwie emocje. Można to uprościć bardziej – najwykleszy wrzask oddaje te emocje równie precyzyjnie. Być może doczekamy i tego.

Resztę spostrzeżeń streszczę. Żadna z pań nie demonstrowała włosów w kolorze, jakże modnym, spleśniałego siana. Nie dostrzegłem również pazurów zdobionych wzorami zaczerpniętymi wprost z krupówkowego czy władysławowskiego jarmarku. Tatuaze były albo nieobecne, albo przesłonięte. Przyzwyczajony do miejskich przechadzek przypominających wycieczki na spaceriak więzienia o zaostrozonym rygorze, przez chwilę czułem się nieswojo – to dopiero muszą być wielkiej klasy przestępcy, skoro się nie tatuują. Spokój wrócił wraz z kilkoma zaobserwowanymi gestami, pełnymi wdzięku. Ktoś mógłby się przyczepić, mówiąc, że ozdabianie ciała towarzyszy człowiekowi od niepamiętnych czasów i mogło przecież wrócić. Tak, ale jest różnica pomiędzy pełnymi kunsztu i piękną arabeskami zdobień twarzy u plemienia Kadiueo (co cudownie opisał Levi-Strauss) a ocierającymi się o wulgarność i prostactwo rysunkami orłów, węży, płonących serc i tyłków, jakimi jest obecnie w dobrym tonie się przyozdabiać. Aby definitywnie wbić ten gwóźdź, uderzę jeszcze dwa razy: żadna z pań nie nosiła odzieży w rozmiarze dla siebie za małym. Smartfony były obecne, ale dyskretnie. To by było na tyle. Teraz podsumowanie.

Jest gorzej, niż było jeszcze niedawno i to zdecydowanie. Na co dzień otacza nas wrzask, wulgarność, ordynarność, prostactwo. Pyszniące się sobą, dumne z siebie, że takie jest – ordynarne i prostackie. Obnoszące hardo swoje atrybuty: brud za paznokciami z wzorami modo disco-polo, cudaczne tatuaze na ramionach, zarysowane na ustach: spierdalał w odpowiedzi na dzień dobry, a w końcu beztronski monolog do smartfona, słyszalny w całym tramwaju: I wiesz, jak on mi, kurwa, pierdolnął taką odzywkę... Dość. Dość!

Jeżeli my, tutaj zebrani, przypisujemy sobie tytuły nosicieli kultury, to obok nobilitacji dla nas z tego wynikającej powstaje – również z tego – zobowiązanie. Do niego ma nawoływać ta refleksja nad „Muzyką w Raju”. Obudzimy się pewnego dnia i już nie będzie ani żadnej, poza disco-polo, muzyki, ani żadnego, poza ekranem smartfona, raj. Oraz nie będzie całej reszty tego, co uważamy za jakąś tam kulturę. My, jakby jej arystokraci. Oczywiście – można mieszkać w wieży z kości słoniowej i mieć „gdzieś” całą resztę. Niemniej, w tym zalewie gnojówki płynącej ze wszystkich stron obyśmy nie obudzili się z oceną Rhetta Butlera mówiącego do Scarlett: „Prawdziwa arystokracja, kochanie, gnieździ się dziś po suterenach”. Scena pochodzi z „Przeminęło z wiatrem”, a ma miejsce na ulicy w Atlancie, tuż po przegranej przez Południe wojnie secesyjnej. Secesja, według Wikipedii, oznacza zerwanie z czymś.

Alski

JERZY HAJDUGA

PIĘKNA JESIEŃ

Na jej widok ściągam liście z głowy.
Głęboki ukłon z mojej strony.

Zbliża się jesień
a my patrzemy na siebie
tyle lat ściągamy liście
z głów

Tajemne przejścia
ty wychodzisz ze mnie
ja z ciebie
liście nas ukrywają

Jakimi słowy
bez świecy lampki wina
słowa same się
zawierają

TOMASZ KORBANEK

NIEOBECNY

Po cichu urywa się z lekcji
dzieciak wycięty z kadru
kreskówki,
z dala od spojrzeń
starszych o numer
typów spod szatni
wyjmuje z kurtki postać
herosa
- stróża anioła o skrzydłach
Batmana,
mantrując coś w sobie
znanym języku
odparowuje chmurką z komiksu,
smugami maszyn
tnących przestworza
na części snu
dzieciak drzemiący
w ciszy antyram, arkuszach
zmyśleń.

MIMOCHODEM

Pomieścisz w głowie obłok
nabity kulami gradu,
tętent o wiatę
przystanku na pętli,
całkiem przypadkiem
schowasz pod skórę
szwadron kamienic

o licach skutych
oczekiwaniem
na koniec świata,
stłoczone w klatkach,
oknach półpięter
sny z których nigdy
nikt nie rozlicza.

USTRONIE

Gałki latarni ściągają ćmy,
draśnięty światłem łowca
motyli
mości się w siodle
srebrnej huśtawki,
między chaszczami
dzikiego kopru
błąka się podlot sroki,
celując w niebo ołowiem
żrenic
rozkłada skrzydła
w znak rezygnacji.
Stoję, słuchając
preludium świerszczy
intruz z osiedla
sześciennych metrów
osamotnienia
kurtuazyjnie
stawiam krok wstecz.
Klei się do chmur
czoło księżycy.

OSTATNI TAKI PROTEST

Gdy książki poczuły się odrzucone, postanowiły przypomnieć o sobie ludziom. Nie do końca wiadomo było, jak to zrobić, lecz od czego mądrość i wiedza zapisana na ich kartach...

– Trzeba dać im nauczkę! – krzyknął słownik wyrazów obcych.

– Tak, tak! – przytaknęła antologia poezji.

Następne głosy, czy to ze strony beletrystki, tanich romansów, czy też kryminałów, niewiele wniosły do dyskusji, za to harmider, jaki powstał w wyniku sprzecznych pomysłów, spowodował, że milcząca dotąd encyklopedia Britannica nie wytrzymała i zawołała:

– Cisza, panie i panowie! Cisza!

Każde społeczeństwo ma takie jednostki, które przez wszystkich, niezależnie od wyznawanych poglądów, uznawane są za autorytet, a ich głos jest niepodważalny. Taki status wśród książek posiadała encyklopedia B.

Można było się z nią nie zgadzać, ale należało jej wysłuchać. Gdy krzyknęła „Cisza”, na regałach, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki (tom 26, strona 19, wers 9), zapanował spokój; kartki przestały szeleścić, grzbiety wyrównały szereg, a tytuły wyprężyły się, by wyglądać dostojnie.

Trzeci tom encyklopedii odchrząknął, dając do zrozumienia, że za chwilę przemówi.

– Panie i Panowie! – zaczął. – Ludzie nie czytają, a my książki... – i tu zrobił pauzę – ...zostałyśmy stworzone właśnie po to i tylko po to, by nas czytać. Nasz żywot zależy, z przykrością muszę przyznać, od nich. Każda z was, kochane, zna przynajmniej jedną taką, która nigdy nie doznała przyjemności przewracania kartek, ślinienia stron palcami i barbarzyńskiego – skrzywił się z odrazą – sposobu zaznaczenia miejsca czytania, jakim jest zaginanie rogów. I każda z was zna co najmniej taką jedną, która dałaby się w ten sposób sponiewierać, byle tylko ktoś zechciał ją przeczytać. Znacnie takie? – zawołał tom trzeci na koniec przemówienia.

Zewsząd rozległy się głosy i okrzyki: tak, tak! Znamy! I tylko te książki, których nikt nigdy nie czytał, zwiesiły smutno grzbiety i spuściły tytuły na kwintę...

Encyklopedia odczekała chwilę, by emocje sięgające zenitu (tom 30, strona 65, wers 3) opadły. Tom ósmy wysunął się wyraźnie z półki i, nie owijając w bawełnę, zapytał:

– A teraz oczekuję waszych propozycji: jak zaradzić tej wyniszczającej tendencji?

Nagle, gdy padło pytanie, wcześniejszy harmider zamienił się w obezwładniającą ciszę. Te książki, które jeszcze kilka minut wcześniej najgłośniejszy krzyczały, zamilkły; te, które wcześniej, z racji swoich kiepskich notowań czytelniczych, milczały, teraz zamilkły jeszcze

bardziej. Nic nie zapowiadało, że coś się może zmienić, gdy nagle, z szóstego regału, czwartego rzędu, trzynasta od lewej, nieśmiało wysunęła się niewielka, ledwo ponad dwustustronicowa książka...

Wicie, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Skutek jest ich konsekwencją.

Kiedy książki usłyszały propozycję swojej nieśmiałej koleżanki, w pierwszej chwili wpadły w panikę. Po kilkudziesięciu minutach sporów, okrzyków za i przeciw, jej propozycja, chociaż radykalna, została uznana za jedyną sensowną.

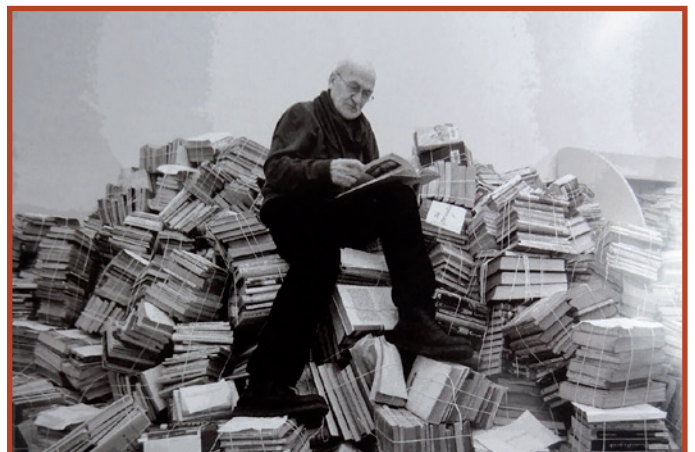
– To nam przywróci honor i należne miejsce w historii – posumował 32. tom encyklopedii. – Nie lękajcie się, siostry i bracia...



Gdy dopalały się ostatnie kartki książek, popiół wypełnił powietrze, a smród spalinowy odczuwalny był na całym świecie, ludzie rzucili się ratować to, co już nie było do uratowania. Samospalenie książek stało się faktem.

Nad pogorzeliem, w wytartych dżinsach i flanelowej koszuli, stał trzydziestoletni mężczyzna i jako jedyny płakał. Gdy nad zgłiszczami zapłonęła z całą mocą żółta twarz księżycy, stojąca obok kobieta ujęła go pod rękę i wyszeptała:

– Chodźmy do domu, Ray. Tu już w niczym nie zdołamy pomóc...



„Mól książkowy”, fot. Bogdan Bloch.
Zdjęcie z wystawy 65-lecia GTF



JESIEŃ JUŻ...

Z rana

Z rana pojechałem do lasu, las był cudowny, przeniknięty wrześnie, dobrym powietrzem, niskim światłem, szczególnie uroczo kładącym się na lesnym poszyciu. Oddychałem, myślałem, a tak naprawdę, to nie chciałem o niczym myśleć. Szedłem powoli po mchu, po suchych gałązkach, które pękały i nic więcej nie było. Potem w domu usiadłem do pisania, ciężka to praca, potem coś zjadłem, potem zrywałem śliwki, które jeszcze nie opadły, i pod wieczór napaliłem w piecu, a teraz, cóż, przed monitorem komputera na coś czekam.

Poezja

Czytam. W linijkach poetów pełno podmiotowych anegdot, mało wspięcia się na wyższy poziom. Obywają się bez duchowego dramatu i poetyckiego zmagania. Bez ogólności. („Poezja umarła”). Czasy zrobiły się inne. Jakieś dziwne gry i narracje zastępują wartość refleksji. Ale nie zastąpią. Niektórym wydaje się, że jeśli uderzą negacją, brutalnym obrazem i dopuszczą do głosu wulgarne narracje i wulgaryzmy językowe, to większej wagi natchnienie samo przyjdzie, coś wielkiego zasugeruje, przekona odbiorcę, podsunie większe sprawy.

Jeśli

Jeśli poezje nie mają idei ani odbiorcy, to wszystko jest możliwe, dopuszczalne i uzasadnione. Każdy bełkot. Każda wulgaryzacja. Wiatr wybaczy.

Wszyscy

Wszyscy jesteśmy w podobnej sytuacji, a nawet takiej samej. Nie mamy szansy wyłączyć się z ducha epoki i z codziennych presji, co gorsza, mających globalny wymiar. I piszemy epokę. Jej manierami, stylem, obsesjami, trendami, obrazami, co tylko ustala naszą przynależność do „tu i teraz”. Taka jest konieczność, bo w innym razie mogłoby okazać się, że nasze dzieła są anachroniczne. I w lamusie ich miejsce. Ale jest problem w tym, bo kto pisze tylko epokę, ten skazuje się na przeciętność, a więc szybkie zapomnienie. Dlatego też twórca musi, jeśli daje radę oczywiście, w kalkulując w swoją pracę dużą skalę ryzyka, przekraczać w jakiś sposób swoją epokę. Od wielu stron przekraczać. Jakie to trudne, warto się przekonać.

Dwie

Dwie młode kobiety w słoneczny dzień przed południem. Oparły swoje pulchne, miękkie pośladki o mur kościoła i rozmawiają. Jedna trzyma w ręce z dala widoczną kartkę, druga nie. Patrzą na nie chwilę. Miły obrazek

M.

M. umarł kilka lat temu w wiosenny dzień. W słoneczny dzień został złożony do grobu. Wysoko nad cmentarzem leciał samolot. Było go ledwo słychać. Była wiosna. Czasem

z nim, umarłym, rozmawiam w myślach. I widzę, jak zadowolony podnosi butelkę piwa do ust i jak je chętnie przy stoliku pod parasolem pije.

O bólu

Myślę o bólu, który dotyka duszy człowieka. Zawracam sobie tym głowę, ale to z ważnych powodów, może tych najwyższych. Uciekam w poezję i sztukę, ale i sztuka jest bezradna. W gruncie rzeczy też dostarcza bólu, bo wyostraża czucie wielu spraw osobistych i ogólnych. Na żadną jednorodną, niczym niezakłóconą apoteozę istnienia miejsca nie ma. Świat pożegnał spokój i poezję pożegnał. Kto dzisiaj wie, co to może znaczyć? Każda sztuka dostarcza sygnałów niepokoju, np. obrazów ludzkiej beznadziejności. Życie też.

Mandolinistka

Patrząc na malutki, stary, z dawnej epoki obraz, można rzec obrazek, który przedstawia młodą kobietę albo raczej dziewczynę w słabo oświetlonym pokoju. Siedzi ona na jakimś miękkim taborecie okrytym jej suknią, dlatego go nie widać. W rękę trzyma mandolinę (może to jest inny instrument, nie znam się na tym). Przed nią na stole leżą zapisy nutowe, które wyraźnie są pomocne do otrzymania muzycznych tonów. Na ścianie wisi oprawiony w starą ramę nie za duży obraz, a jego szczegóły są zatarte. Wygląda, że to czyjś portret. Dziewczyna została przez dobrego artystę namalowana w centrum obrazu, na pierwszym planie. Bardzo wiele można wnioskować o jej statusie społecznym. Na czole spoczywa diament, włosy opina przepaska, włosy z tyłu są spięte w jakiś rodzaj koka, od przepaski na bok głowy opada chusteczka. Ubrana jest w ciepły kubraczek, widocznie w pokoju jest nie za ciepło. A resztę ciała, aż do samych stóp, ogarnia przepiękna, pełna fałd suknia, zapewne nieco ciężka, obszyta od dołu wzorzystą, szeroką taśmą. Ręce od łokcia są obnażone, palce dotykają strun, szyja jest obnażona, usta są zamknięte. To wszystko jest ważne. Pełen skupienia wyraz jej twarzy, ale najważniejszy jest klimat tego wnętrza, mroczny i tajemniczy, co bardzo w starych obrazach lubię.



Krzysztof Szmytkiewicz „Ibanez”.

Zdjęcie z wystawy 65-lecia GTF

MARTWIA

kiedy się złości mruży oczy i wsysa usta
do środka. Przypomina wtedy zdechłą rybę.
Taką, co leży na brzegu zmarzniętego stawu,
a złość jak szron wypełnia jej sine łuski.

PORODÓWKA

tym razem otwiera się na strychu. Wiesza zimne pranie
na sznurze. Wiesza za wysoko. Brzuch opada wodą do
miednicy. To(nie)my. Niemy płacz słychać aż w piwnicy.

POTULIA

jest jak mała Julia. Sine łokcie i
dziurawe kolana. W nich zarośnięte
kamyki. Już zawsze będzie nosić
piasek jak talizman dzieciństwa,
którego nie było. Się zmyło. Upiło.

JASEŁKA

Książdz przyszedł z góry. Namawiał
do skrzydeł. Wystarczy tektura i farba.
Na tym nie da się latać. Postać dziecko
w kościele. Tak trzy niedziele.

PUCHNIĘCIE

nadchodzi. Nie popłynie w nocy na łodzi. Nie
zmruży oka mała wywłoka. Słowa nie zna. Się
nie uczyła. Gruba i głupia jest. Opada z niej siła.

NOCĄ KSIĘŻYC

podpala warkocze. Nie rozplata ich, bo związane bardziej
trzymają przy ziemi. Innym razem spada gwiazdna ulewa.
Osypuje głowę kawałkami zbitych kieliszków. Skrzy się,
nasyca światłem i wilgotnieje dokoła. Długo w noc wyjmuje
z włosów pył. Trochę przy tym krzyczy, a trochę się śmieje.

WRACAMY

do domu. Potyka się. Piła. Teraz będzie gniła.
W łóżku leżała i cicho płakała. Przyniesie
miednicę. Przepłucze miednicę. Kołderką
okryje te zapite ryje. Nikt nie woła, nie wyje.

DZIADEK JEST

jeden, za to na poważnie. Szorstkie ręce. Jesionka stara,
zawsze niedoprana. Zęby co drugie wypadły. Pieniążki
daje. Papierki kolorowe. Papierek za cukierek. Taka magia
sklepu. Przewrócił się na ulicy. Rozpoczął umieranie.
Coś w nim zaczęło odchodzić. Rozstawały się ręce.
Żegnały ze sobą nogi. Każde poszło w swoją stronę.

BABKA JEST

babką. Z chorą nogą obiega całe miasto. Gdyby
noga była zdrowa siedziałaby w domu. Cała Babka.

CIOTKA JEST

od tysego psa i wpadła pod tramwaj. Nie chciała żyć.
Położyła duszę na torowisku. Numer dwa przyjechał
według rozkładu. Było dużo krzyku i mało krwi.

PIEC JEST

ciepły, kaflowy, ponemiecki, domowy.
To się odbywa na granicy błysku, na ostrzu
spojrzenia, gdy decyduje, co złapać. Pas zwisa
na piecu obok suchej wędliny, z której ścieka
tłuszcz. Piec jest ciepły, kaflowy, ponemiecki,
domowy. Grzeją przy nim ręce i suszą majtki.
Te zawsze trzeba zdjąć. Zęby mleczne zagryźć.
Szybko krzyczeć, to może przestanie. Nie. Nie
krzyczy. Dusi się od ognia. Piec jest ciepły,
kaflowy, ponemiecki, domowy.

IDŹ DZIECKO

idź, i weź go uspokój. Pokój-spokój-niepokój. Nic
nie mówi, bo dziecko, gdy się boi cierpi na watę w
ustach. Nie można jej przełknąć. Kula ciśnie. Ssie.
Zarasta uszy. Ślepa i głucha wpada w ręce.

UNIESIENIE

brwi, a zaraz potem coś leci, coś łśni. Szyby nie
są już całe. Kłują jasną skórę. Coś boli na czerwono.
Szczypie w lewym oku. Wszędzie pełno krzyku,
którego nie słyszy, bo dziecko, gdy się boi cierpi
na głuchotę. Kurczy się. Sine nogi wsiąkają w dno.

21 OCZEK

Mały krok do pieniędzy. Kroczek.
Zgra się. Spali, wszystko z kieszeni
wywali. Noc zaprzepaści. Nie da na
krwiaki maści. Z domu wyniesie i
sprzeda. Będzie cholerna bieda.

TANIEC ŻURAWI

a nikt się nie bawi. Dzieci bogatych
kradną wyłącznie zabawki.
Te biedne biorą chleb. W snach przegryzają
nim tłuste kawałki.
Noce głodnych pachną sianem i gorącym mięsem. Krokiem
wilków cała zgraja wybiega na pole. Matki nie lubią
na to patrzeć.
Drewniane ptaki do zabawy wystrugają same.
Z jednego patyka.

KLUB MOS „JEDYNKA”

10 października 2019 r. godz.18.00

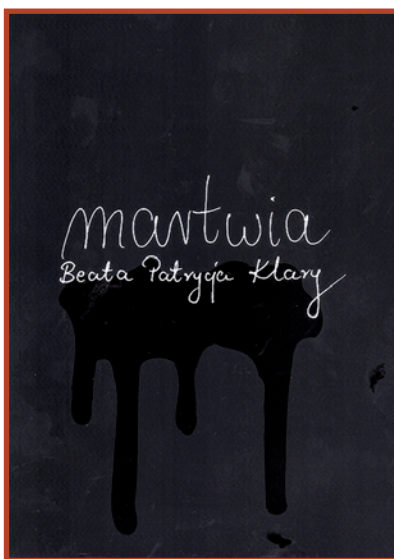
Promocja nowego tomiku wierszy Beaty P. Klary
pt. „Martwia”

DZIECIŃSTWO, KTÓREGO NIE BYŁO

Ostatnia książka poetycka Beaty Patrycji Klary nie jest lekturą łatwą. Nielekko się ją czyta, mimo że rozmiary tomu są niewielkie, a pomiędzy wierszami dużo jest powietrza i białych przestrzeni. Poetka, która wielokrotnie mówiła o tym, że obszar jej twórczych zainteresowań obejmuje raczej mroczną stronę świata, po ostatnich wierszach dotyczących choćby ludobójstwa w Rwandzie, tym razem dotknęła tematu, który od pewnego czasu wychodzi spoza strefy tabu, choć jeszcze na pewno nie doczekał się dostatecznej liczby artystycznych konkretyzacji. To temat okaleczonego dzieciństwa.

Bohaterką książki jest dziewczynka, konkretna dziewczynka, o czym może świadczyć tytuł jednego z wierszy zdradzający topografię dziejących się okrucieństw. Tytuł książki natomiast można czytać jak imię bohaterki, ale też jako miejsce, w którym została uwięziona. Etymologia Martwii nie wymaga objaśniania, natomiast wyraźnie nasuwa skojarzenie z baśniową Narnią. Ale o ile opisana w powieści C.S. Lewisa przestrzeń była areną walki dobra ze złem, gdzie ostatecznie zwycięża dobro i kryzys daje się zażegnać, w poemacie Klary triumf odnoszą krzywdziciele. Martwia bowiem jest przestrzenią cierpienia, co zapowiada już okładka książki przypominająca szkolną tablicę, na której dziecięca ręka zapisała kredą tytuł zbioru. Tablica ocieka czarnym tuszem, którego gęstość przypomina krew. Pomiędzy pierwszym a trzydziestym dziewiątym wierszem boleśnie toczy się ukazany z perspektywy bohaterki czas udręki, upokorzeń, gwałtów, prób ucieczek. Ten kalejdoskop scen zdaje się odtwarzać mechanizm zapisywania w pamięci traum, które, jak twierdzi neurologia i ludzkie doświadczenie, mogą powodować trwałe urazy w psychice, poczucie zatrzymania czasu, nawracające lęki. Uporczywość pamięci, obrazy, których nie da się wypędzić spod powiek, zakłócają proces kształtowania się zdrowej psychiki, udaremniają szansę na dobrą przyszłość.

Klary nie używa zabiegów służących budowaniu patosu, choć bohaterka jest naznaczona antycznym fatum. Język jest ascetyczny, oszczędnie kreśli makabryczne sceny. Opisywane okropieństwa mogłyby być złagodzone rymem, gdyby nie to, że w przypadku tej tematyki rym potęguje drastyczność przekazu. Przyspiewkowa formuła wyliczanki, podwórkowe inkantacje podkreślają dziecięce ujęcie, ale jednocześnie

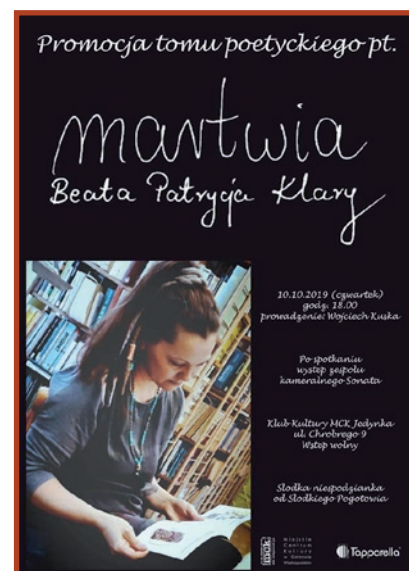


powodują, że opisana Golgota brzmi jeszcze ciemniej. Nie ma tu miejsca na nadzieję. Bohaterka pozostaje w zakłętym kręgu przemocy, gdzie kaleczy nie tylko kabel, szkło, żelazko, ale także słowa, które, jak blizny, pozostaną na zawsze. Wśród patologicznych krzywdzicieli, bezmyślnych oprawców nie zaistniał ani jeden bohater, który byłby w stanie pomóc ofierze. Pojawiają się co prawda figury dziadka i babki, jednak w wyraźnie odmitologizowanej odsłonie. Nie przynoszą ocalenia, nie dają schronienia przed ciosami. Nawet poniemiecki piec kafłowy to obiekt kojarzący się z przemocą, nie z ciepłem.

Klary nie pierwszy raz przyjmuje literacką strategię reportażu, nie komentuje, nie formułuje pouczeń ani sentencji o krzywdzie czy okrucieństwie. Nie ulega łatwej pokusie efektownego moralizowania. Pozwala dzieć się zdarzeniom, płynąć łzom, sączyć ranom. Unaocznia piekło.

Trauma dręczonego dziecka opisane zostały językiem, który dla autorki „Martwii” jest już mocno charakterystyczny i wykrystalizowany – to język ociosany z wszelkiego nadmiaru, pozostają tylko słowa bezwzględnie konieczne. Można odnieść wrażenie, że poetyka tego tomu w stosunku do poprzednich książek przybrała, dzięki bezpretensjonalności, jeszcze większą szlachetność. Klary nie dąży do zintensyfikowania szoku czy wzruszeń poprzez użycie efektownie brzmiących środków, osadza świat swojej bohaterki w prostych realiach i taki też jest język jej przekazu. Język, który wycofuje się tu jak gdyby na drugi plan. Służy opowiedzeniu cierpienia.

Beata Patrycja Klary,
„Martwia”, Zaulek
Wydawniczy Pomyłka,
Szczecin 2019, 52 s.



BIAŁE MIASTO

Nie wiedziałam że istnieje
białe miasto poetów
i że w nim
kwitną
ruiny
na nadbrzeżu zamglonym

Nie wiedziałam
czemu morze jest słone
jak wielka łza
i że aż tyle słów
musi pochłonać
zanim na koniec zażąda
rozchybotanej łajby
mojego
płytkiego oddechu

Szeptalam w srebrne muszle
znaczeń
obce wiatry prosiłam
o zapach metafor
fale morskie
dały mi dźwięk
harfy postrzępionej

Morze
zabrało mi wiersze
które pisałam o świcie
mokrym patykiem
na wilgotnym piasku

Stały się
białą pianą o ból odbitą

Więc naga plażą pobiegłam
by kłaniać się zgłiszczom
przyklekły mewy w locie
ja na brzegi upadłam

Białego miasta
ciche mury pobladły...

JA CHCĘ PIĘKNĄ
CISZĘ ŚPIEWAĆ

Ja chcę piękną ciszę śpiewać
Szeptem o zapachu słońca
Kroplą rosy co uderza
W radość świtu w serca dreszcz
Wiosną budzić chcę skowronki
Inne ptaki no i drzewa
Niech wśród listków młodniejących
Szepcze najpiękniejszy śpiew

Ja chcę śpiewać pięknym szeptem
Kroplą o zapachu serca
Rosą świtu co otwiera
Radość szeptać chcę jak śpiew
Wiosną budzić wszystkie trawy
Wszystkie kwiaty no i serca
By wśród nut zieleniejących
Śpiewał najpiękniejszy sens

Ja chcę piękną ciszę śpiewać
Szeptem o zapachu serca
W sercu nuty chcę otwierać
W śpiewną radość wciąż chcę biec
Zawsze budzić chcę piosenki
Tak jak ptaki no i drzewa
By wśród nutek śpiewających
Dzwonił najpiękniejszy szept

Potem chcę odpocząć w dzwonek
Potem chcę odpocząć w drzewach
Chcę być ptakiem i powietrzem
Szepcząc najpiękniejszy śpiew
Niechaj oddech serca śpiewa
Niechaj śpiewa jak powietrze
Niechaj śpiewa serca zew

LEKARKA

Pani dr Natalii Marszałek-Krzywickiej

Widzę Ją – inaczej

Mówi:
Pani ma oczy
Zestrzelonego ptaka w locie
Podchodzi blisko
Potem odchodzi
Jak pociąg
Który nazywa się Chopin

Ta miła pani doktor
Znowu przychodzi
Nie każe się rozbierać
Do szpilki we włosach
Wie że mam mało
Rzeczy osobistych w walizce losu
Parę mazurków w sercu
Parę słówek
I nutek

Na najcieńszych
I najczulszych strunach głosu
Wie że wiosny we mnie
I pozostałe pory roku
I nawet drzewa
Są fortepianowe

Muzycznie mówi:
Oddychać płytko
Płytko
Bardzo płytko
Proszę nie oddychać wcale
Bo przecież Pani ma oczy
Błękitnego ptaka w locie

Ponadto –
Usta Pani
Są do wyśpiewywania
Przeźroczystej Pieśni

PODRÓŻ

Romie Kubiak

w wagonie upalny świat
ale nikt
drżącego szeptu rąk
ani gorących strun pieśni życia
nie słyszy
w błękitnym świetle śpiewa ból
i wiatr
a usta
błogosławią dźwięk ciszy

jakże wyrazić stukot krwi
odsluchać w sobie etiudę
skulonego serca na dłoni
i smutnych ramion
kiedy zdyszana
żelazna droga szyn drży
lokomotywa pędzi
jak anioł

za oknem
zwierciadła pól
białe obłoki
– dym zieleni
jakże więc w rozpędzonym
krajobrazie
oderwać ręce od ziemi
i bezbolesną wstęgą żył
przywiązać je
widnokrzemami spojrzeń
stromych

do jasnej
śpiewnej
nieba sieni

BÓL

Wzgórzom bólu
noc nadaje stromość
bliskie twarze
i ręce
oddala
na odległość dotyku

Po uśmierzającej dawce
trudno się skupić
trudno pomyśleć
po zdjęciu maski
tlenowej
i własnej

Samotnieje serce

Istnienie przecięte ostrym
nożem wichrów
jak przelot cienkiego włosa
w smutnym śpiewie

„Gdy serce mam za małe, By serce mieć za duże”

Najnowsza, szósta już książka poetycka Ireny Zielińskiej „Śpiewam ciszę” to zbiór wierszy, na który złożyły się także teksty piosenek, które autorka od lat tworzy dla krakowskiego kompozytora Andrzeja Zaryckiego. I jemu właśnie, a także najbliższym osobom: Mamie i przyjaciółce Basi Schroeder poetka ten zbiór dedykuje.

W tomie tym autorka pozostaje wierna afirmacji życia, zachowuje niezmaconą wiarę w sens i logikę losu oraz mocne przeświadczenie o tym, że w sztuce można odnaleźć sposób na przetrwanie, a sam proces kreatywny uwalnia od bólu, daje poczucie wolności, stanowiąc antidotum dla życiowych rozczarowań. Poetka wyraźnie opowiada się po stronie kruchości życia, czując braterstwo z istnieniami okaleczonymi i bezbronnymi. W tej ułomności dostrzega piękno i celebrytuje wiarę w to, że z każdego cierpienia można się podnieść. W wierszu otwierającym zbiór formułuje swoje artystyczne credo, w którym manifestuje się potrzeba artykułowania tonów jasnych i promiennych, wydobytych wprost z kruchej serca. Jest to radość „pomimo”, bo życie w przeświadczeniu gorzowskiej poetki, jak czytamy w innym tekście, to *bal marionetek, bal bez muzyki, gdzie o miłość się krzyczy, bal smutnych kobiet szalonych, gdzie bies kulawy krok liczy*. Wielokrotnie przewijające się tu motywy marionetek, nakręcanych zabawek, protetycznych walców nasuwają oczywiste skojarzenie z toposem theatrum mundi, ujmującym los jako spektakl, a ludzkie życie jako narzuconą z góry rolę do odegrania. Ta dojmująca świadomość nie gasi jednak uśmiechu poetki, w której wciąż odzywa się ufność małej dziewczynki, uparczywie walczącej o pozostanie po jasnej stronie życia.

Jest w słowach poetki mądrość i spokój, pogodna melancholia i radość, jakby chciała poezją świadczyć przeciw śmierci, uzasadniać nią sens istnienia.

Jej teksty wyraźnie wyrastają z współodczuwania, z poczucia braku, niepełności, rozpacz. Z poczucia nieprzystosowania do życia. I mówi o tym wprost,

z czułością odnosząc się do wszystkiego, co bezbronne i wykluczone. Odnosimy wrażenie, że apoteoza życia ma swoje źródło w wewnętrznych ranach. To, co bolesne, stanowi o sile i autentyczności przekazu. Groza życia, jak się po raz kolejny potwierdza, może być zażegnana właśnie dzięki poezji. To sztuka może być dla wrażliwych dusz łodzią ratunkową.

„Piszę, jak żyję” – deklaruje w odautorskim wstępie poetka, zapewniając o tożsamości swoich wierszy z nią samą. Filigranowe ciało emituje potężną energię, te wiersze błyszczą światłem, które nie pochodzi z zewnętrznych zabiegów językowych, lecz z serca. *Jestem jak mały ptak, w którego gardelku zagnieździły się nuty, ale że jest to nieśpiewny ptak, to nutki kopią go w serce...* – czytamy we wstępie. Lektura książki takie wrażenie potwierdza.

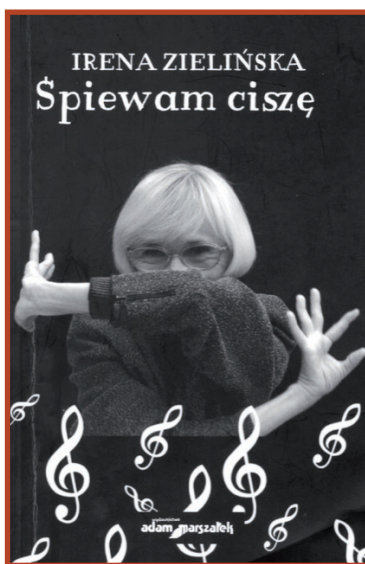
Obecne są w tym tomie także znane z poprzednich książek mowy meta-poetyckie, gdy poetka mówi o eksplozji słowa poprzedzonej groźną ciszą, jak na przykład w niezwyklej urody frazie o „ciemnieniu ciemności”, „zakwitaniu nocy”, z której rodzi się wiersz – „nagle uratowana nagość”.

Franciszkańskie braterstwo z tym, co inne, bezpieczne, samotne, porzucone, jest, jak już wspomniano, znakiem rozpoznawczym tej twórczości. Podmiot w imię tego braterstwa nie

aspiruje do piedestału, nie wypowiada namaszczonych fraz, ale potrafi wmieszać się w tłum włóczęgów, krzyknąć o swoim bólu, by za chwilę zaskoczyć wyrafinowanym ujęciem, w którym wiersz staje się *katedrą wylaniającą się z mroku niby z nadgarstka chorej dłoni wypłoszony motyl*. Poezja ta kreuje obrazy wynikające z niepohamowanej wyobraźni wizualnej, ale także wycucia rytmu, melodii, dlatego teksty te są idealnym materiałem do aranżacji wokalnych.

Spotykamy w tych wierszach częste antynomie światła i mroku, istot skrzydlatych i pełzających, nieba i ziemi. Zawsze jednak zwycięża to, co pozwala nam odbierać autorkę jako poetkę *pogodną mądrym smutkiem i wprawną w cierpieniu*, w której ani na moment nie gaśnie zachwyt światem i pasja życia.

Irena Zielińska, „Śpiewam ciszę”,
wyd. Adam Marszałek, Toruń 2019, 122 s.



DZIEŃ KRETA

Ranny
rzut oka na wnętrza:
ramy po portrecie,
ciemniejsze miejsca po meblach;
czas zaciera ślady „po”.
Wstaje regularnie, z budzikiem
grającym Płacz ślepca.

Wygrzebuje z siebie siebie,
potem chowa ukradkiem.
Chodzi po chleb i do miasta.
Bywa w miejscach, pomiędzy.
Jest tyle nowych kobiet – myśli mimo.
Zagłada do galerii, do oczu. Czasem
spotyka się i mówią o czymś innym,
tym samym.

PUENTA JEST MNIEJ WIĘCEJ
W OSTATNICH WERSACH

Narzędzia się tępią, nawet boskie.
Wieczny Tułacz pewnie ćpa za rogiem,
jednoróżce ćwiczą pląsy w kolejnym
cyrku (róg schowany pod chustą).

Jest plebejsko, dokładnie tak, jak przewidziano.

Nawet gdyby bardziej chcieć:
spiać się, pić trzy dni, noce zostawiając
na mantry czy inne modły, szukać,
zglębiać księgi, wnikać jak kret
w zapomniane korytarze,
próbować kolejnych rozmów i pojednań,
nawet: pójść do łóżka z rozpędu,
obudzić się w gorącej kawie, papierosie,
śniadaniu i podanych kapciach – cuda
umierają najszybciej.

PRZEŁOMY

Siatka krzyżówek, zmańczonych kierunków,
dróg, które pędzą do kolejnych światła,
krótkich przystanków, zabawy w „kto pierwszy”.
Jedna z tych nitek prowadzi do miejsca,
co czeka na mnie od zeszłej jesieni.

Wszystko oddycha dość ostrożnie; jeśli
mróz nagle wróci, zetnie to, co kwitnie
kilka dni zaledwie. Słońce pozwala dostrzec
parę zielonych pąków – przełamanie burch,
zgnitych kolorów zimy, bezśnieżnej i słotnej.

Wokół jeziora cisza. A pod kloszem miasta
budzą się z wolna głosy, skrzeczą radia,
klekocze szparko tramwaj i, jeszcze w kożuchu,
wsparta na starzej miotle przysypia sprzątaczką.
Tu – bliżej jest do światła. I do zimorodka.

Na suchych, zeszłorocznych liściach
wije się larwa.

SAWANNY

Kopce termitów świecą w ciemności –
to larwy chrząszcza lśnią seledynowo;
przepiękny widok, lecz na dnie obrazu
najwyczejniejsza walka o przetrwanie:
światła te wabią termyty, by potem
służyły chrząszczom za pokarm.

Noc jest pramatką śmierci. Zaciemnia
widzenie, obiecuje niejasno; jak kopce –
choinki na spalonej ziemi, pełne, z pozorów,
darów, pełne objawienia jakiejś: prawdy?
Ostatnich rozczarowań. Nikt nie wgląda
do końca, ciemność jest łaskawa, tylko Księżyc –
po trosze obojętny, po trosze bezradny.

U nas – też walka ciągła, w blasku reklam,
od pieluch po zejście i nie wiem –
termitem jestem czy chrząszczem, przy czym:
chrząszcza też ktoś zeżre.

PARADISE

Droga do naszego nieba bywa trudna i pełna
niezałatanych krzywd, chociaż, wiesz – niebo
jest erzacem dla naiwnych. Ale te małe,
niby nieistotne migotania chwil
(zbierane, wiesz, skrupulatnie; jakby skąpiec
liczył resztki ocalałego trafem, po totalnej
pożodze, majątku) – one wrastają w nas,
nieobojętnych. Pielęgnowujemy to, myślę,
każde po swojemu, ale – czasem robimy
kolację, wiesz, dla dwojga: świece
i te klimaty, i wtedy jest jakoś tak, że chce się
wyjść na ulicę i uśmiechnąć
do policjanta.

PIOSENKA NA ODCHODNE

Wydmę jak pomarszczona skóra nosorożca,
jak twoje piersi, miła, moje blade ciało

dawniej mocne i jędrne. Morze szroni chwasty
kropelkami wilgoci. Wilgoć płynie z oczu.

Wpół zagrzebany w piachu, zardzewiały kuter,
dwa zżarte rdzą silniki, połamane wiosła,

rozrzucone niedbale jak skrzydła Ikara.
Co nas zepsuło, miła, co nas żre od środka?

Wodorosty na plaży jak przegniłe kłosa.
Co w nas gnije, we wnętrzu, kto rozpoczął proces?

Na horyzoncie wiatrak, ruina wiatraka.
Dziecko wskazuje ręką, dziecko pyta: co to?

Dziecko spogląda na nas, dziecko jak my, kiedyś.
Tylko nocą jesteśmy sobą, tylko nocą.

Starość winna być ślepa, nieczuła na dotyk.
Starość winna być ślepa. Starość winna nie być.

ŚLEPY KRET I JEDNA DESKA

Tomik wierszy „Dzień kreta” Marka Lobo Wojciechowskiego zaczyna się od „wyrzebywania z siebie siebie”. Ta czynność wymaga wysiłku. A potem monotonia dnia, te same zachowania, te same banalne rozmowy o tym samym.

Smutny jest świat zatrzymany w wierszach Marka Wojciechowskiego. To świat miejski: pełen brudu, huk, zgrzytów, szarości w barwie i nastroju, świat rozkładu przedmiotów i ludzi. Jakieś *Franki i Zdziśki wrastają w bramy kamienic, półwidoczni w półmroku* („starówka”). Jakieś *grabie, kilka łopat, motyka, łom, łuszczący się w rękach; przedmioty bezpieczeństwa, bez szans w pojedynku z robactwem i rdzą* („korozja”).

I ludzie jak krety:

Zakorzeni w sobie, o sobie wiedzący tylko to, co czujemy. Na nic są nam oczy, gdy szukamy dotykiem i smakiem, w ciemności. Szorstkie i gładkie, cierpkie, ciepłe, wyziębione, falujące pod dłonią, chropowate, miękkie, twarde i słono-słodkie. W dzień ślepniemy. Krety wyrzucone na światło. Dni są ślepe. Kwiaty są ślepe. Kamienie. Drzewa. Przyszłość jest ślepa.
(„wiersz dla niewidomych”)

*

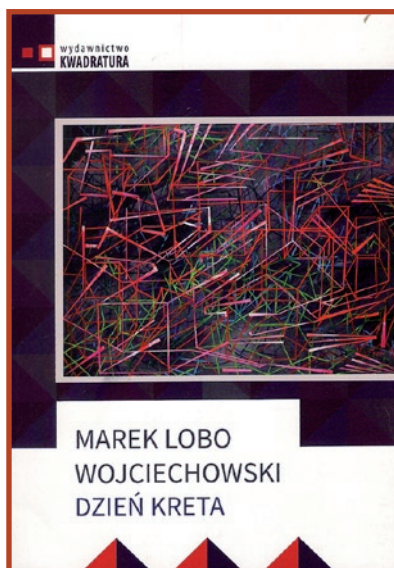
Kret nie zna dnia. Kret w trakcie dnia śpi. Aktywnie żyje tylko ok. 3-4 godziny na styku nocy i dnia, bardzo wcześnie. Wtedy draży swoje podziemne korytarze, cały ich labirynt, w którym gromadzi zapasy i się chowa. Żyje samotnie. Kret nie widzi, kieruje się słuchem. Wrażliwy jest na odgłosy i na drgania. Marek Wojciechowski pokazuje świat od dołu, od podszewki, od jego brzydoty.

Opowiada o nim językiem szorstkim, męskim, pełnym smutku. To świat jednoznacznych zdarzeń i sytuacji. To świat bez perspektyw.

*

Ale wśród takich wierszy ponurych i pełnych beznadziei od czasu do czasu błysnie wers albo zaledwie słów kilka o tęsknocie, niej, kobiecie, choć nienazwanej, o potrzebie z nią bliskości. Po prostu o miłości. I o domu, jako miejscu spajającym związek, ważnym, gdzie wszystko wspólne. Jak w wierszu „adres: przedostatnia 3/3”, w którym razem remontowali stary, poniemiecki dom, by w nim zamieszkać i szczęśliwie żyć codziennością. A teraz, po latach *Bawimy się ogryzkami ognia, który kiedyś płonął, płonął w nas, oslepiająco.*

W wierszach Marka Wojciechowskiego stale jest obecna nieuchronność odejścia i związanego z nią bólu duszy. Najpełniej te obawy wyjawia wiersz „potem”:



Kiedy odejdziesz, wiem, co we mnie pozostanie: bliskość naszych ciał, nocą – cóż, normalne – ale nie to jest najważniejsze. Małe, nieznaczne drgnienia, to wychwytywanie nieuchwytnych drobiazgów: miękkiego ruchu ręki, pełgających iskier w oczach – początku uśmiechu, prób wtulania się we mnie (dość niezręcznych, jakbyś wciąż i wciąż się uczyła), gestu, którym wpinałaś spinkę we włosy.

W tym wierszu pokazuje się całkiem odmienny Marek Wojciechowski: ciepły, wrażliwy, wychwytyjący drobne gesty, po prostu czuły. Niewiele takiego Marka w całym tomie. Ale w dedykowanym Hance wierszu pt. „Karat” jest metafora, która na pewno zapadnie w pamięć każdego czytelnika. O wspólnej przyszłości tak pisze autor: *podeprzemy się jedną laską kiedyś, przykryjemy jedną deską.*

Nareszcie tu nie ma wątpliwości, nie ma rozterek: jest miłość i wspólna przyszłość. Aż do śmierci. Ale pozostaje jedno retoryczne, pełne niepokoju pytanie: *Na kim się wesprzesz, gdy odejdziesz?* („coraz mniej”).

*

Tom „Dzień kreta” zawiera wiersze o różnej tematyce zapisane w różnej formie. Te dotyczące przeszłości autor pisze długimi wersami, jakby snując opowieść. Zaliczam do nich przejmujący, choć w słownictwie wręcz oschły wiersz napisany po śmierci ojca („requiem”). Taki jest także rozrachunek z samym sobą, tym sprzed lat, złym, który na skutek własnych zachowań stracił *dwie rzeczy: cel i sens, obie naraz* („Atlantyda”).

*

Tytułowy ślepy kret tylko z pozoru nic nie widzi, odrzuca brudny świat, prymitywnych ludzi, pustkę w przyszłości. On widzi i czuje więcej niż inni. Ten kret ma w sobie dużo ciepła, dużo serdeczności, a nawet miłości, choć nie lubi o niej mówić.

*

Tom zamyka wiersz „przejście”:

*tam kończą się wszelkie słowa
i koniec pieśni nie jest eufemizmem, lecz
pojedynczym, pękniętym dźwiękiem.
To miejsce, gdzie stają wszystkie pojazdy,
gdzie pójdziesz sam, boso, na ślepo.
Na ślepo. Jak kret.*

Byle jeszcze nie tak szybko.

Marek Wojciechowski, „Dzień kreta”,
Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2019, 50 s.

Promocja nowego tomu wierszy
Marka Lobo Wojciechowskiego pt. „Dzień kreta” odbędzie się
w dniu 25 października o godz. 17.00 w WiMBP.

O NOWEJ POWIEŚCI ŁUCJI FICE

Haft na styku światów

Być może jest grzechem prowadzić takie rozważania. O tym, co jest, objaśnia nas fizyka. O tym, dlaczego jest – metafizyka. A o tym, jak jest? W jaki sposób nasz wewnętrzny świat przyswaja, absorbuje świat zewnętrzny? Jak powstają nasze spostrzeżenia, nasze refleksje? Co dzieje się w nas, kiedy patrzymy? Co dzieje się w nas, kiedy zamykamy oczy? O tym wszystkim objaśnia nas, a przynajmniej próbuje, ta powieść. Zdarzenia dzielą się na codzienne, niecodzienne i te, które się nie zdarzyły. Pomiędzy fizyką a metafizyką rozciąga się bezkres, który ta powieść próbuje wypełnić. Bezkręś emocji, empatii, gestów dokonanych i niedokonanych, zdarzeń, które miały miejsce, miały mieć miejsce – były oczekiwane, nigdy nie miały miejsca, a mogły – tak sugeruje bohaterce po latach jej refleksja. Dwoje dojrzałych ludzi, kobieta i mężczyzna, oboje z bagażem pamięci o wspólnym życiu. Mężczyzna wychodzi do pracy, kobieta patrzy w lustro. Kobieta wyjeżdża do pracy, mężczyzna umiera. Kobieta wraca i parzy kawę tak, jak ją uczył zmarły mąż.

Haft na styku światów – swoicie pojęty monolog wewnętrzny, w którym opowieść o życiu dwojga ludzi oplata koronka zamyślenia o nim, prowadzi kobieta. Ze strony na stronę coraz rozleglejsza koronka, bo buddyzm sąsiaduje tam z mechaniką kwantową, a krążące w umyśle potencjały, z których potem nasze myśli – z magią najbardziej osobistych wspomnień. „Jesteśmy wszyscy jak cząsteczki patrzące na siebie. Oby patrzeć z sercem”. Ostatnie zdania tej opowieści są jej najlepszą syntezą – o tym właśnie ona jest.

Jerzy Alski

O „Drugiej stronie grzechu”

„Druga strona grzechu” pozostaje na granicy powieści i eseju. Jest swoistym traktatem usiłującym rozstrzygnąć zagadkę bytu w oparciu o intuicję, penetrację somnambuliczną, zmysły i wiedzę z zakresu fizyki kwantowej. Tłem narracji jest biografia autorki, w tym jej wieloletnia emigracja, nazwijmy to zarobkowa, choć w istocie była ona penetracją i nowych światów, i samego siebie, którego lepiej widać zarówno w oderwaniu od pieleszy kulturowych, jak i w sferze nowych, nieraz traumatycznych doświadczeń. Cztery gastarbajterskie powieści Łucji Fice stworzyły mocny fundament pod „Drugą stronę grzechu”, ale zarazem były cennym dokumentem emigracji poakcesyjnej (blisko trzy miliony Polaków od 2004 roku).

dr Stefan Pastuszewski
(„Akant”)



Smak życia

Z Łucją Fice, mieszkanką Gorzowa Wielkopolskiego, znam się od lat. Debiutowała tomikiem poetyckim w 1997 roku. Poezję uprawiała niejednokrotnie, jednak od dłuższego czasu zaczęła też zajmować się prozą. I to osobiwą, bowiem opowiadającą gastarbajtowanie za granicą. „Za chlebem, panie, za chlebem!”. Te książki to było „samo życie” – uciekaliśmy za granicę, by mieć lepszą pracę i płacę.

Powieści „Przeznaczenie” (2012) i „Wyspa starców” (2013) były „żywcem wzięte” z owego gastarbajtowania. Polegało ono przede wszystkim na opiekowaniu się starszymi osobami (w Wielkiej Brytanii i Niemczech). Czytam w nocy na jej temat: Jej doświadczenia zainspirowały powstanie książek „Opiekunka”, „Przeznaczenie” i „Wyspa starców”, opisujących los samotnej kobiety na emigracji.

Tym razem skończyłem czytać najnowszą książkę Łucji pt. „Druga strona grzechu”.

Leszek Żuliński

SZUKANIE PO OMACKU

„Druga strona grzechu” to czwarta prozatorska książka Łucji Fice, ale najbardziej osobista, bo zawierająca głównie jej wyznania i rozważania. Wszystkie jej książki wyrastają z doświadczeń autorki, która pracowała jako opiekunka osób starszych i chorych najpierw w Anglii („Przeznaczenie”, „Wyspa starców”), potem w Niemczech („Za kryształowym lustrem”). Główną ich bohaterką była Gabrysia, alter ego autorki, czego ona nie ukrywa.

Interesująco są w tych książkach przedstawione warunki pracy w domach pomocy dla ludzi starszych oraz wzajemne relacje między chorymi a opiekunką wywodzącą się z innego kręgu kulturowego i językowego. Ale oprócz realistycznego opisu życia, już w „Przeznaczeniu” autorka wyjawia swą predykcję do interpretacji snów, szukania motywacji zdarzeń w intuicji, kierowania się podświadomością. Praca przy osobach chorych, trudnych w kontakcie, praca najczęściej w samotności, w odaleniu od domu, w stałym obcowaniu ze śmiercią rodzi pytania o sens życia i o pojęcie śmierci, o relacje między żywymi a zmarłymi. W kolejnych książkach ta sfera się rozrastała, aby zdominować najnowszą pt. „Druga strona grzechu”.

*

Nie ma już Gabrysi, czyli postaci literackiej wykreowanej przez autorkę, jest ona sama, narrację prowadzi w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Wybiera się w kolejną podróż do Niemiec, by opiekować się osobą chorą. To będzie jej ostatni wyjazd, bo ma swoje lata i chce odpocząć przy mężu, ale musi jeszcze trochę zarobić na zaciągnięte zobowiązania. Patrzy na swój dom już z perspektywy powrotu. Dopiero wtedy będzie jej łatwiej powiedzieć mężowi, jak bardzo go kocha, jak ceni jego takt i intelekt, jak jest mu wdzięczna za cierpliwość i wyrozumiałość z powodu tych długich wyjazdów. Przeprowadza analizę swojego długoletniego małżeństwa, w sumie dobrego,

choć na co dzień z drobnymi sprzeczkami, nawet żalami i wzajemnymi wyrzutami.

Jedzie do pięknego Passau (pol. Pasawa) nad Dunajem w bogatej Bawarii. Warunki pracy są tam bardzo dobre, autorka ma dużo wolnego czasu. Ale coś ją coraz bardziej gnębi, coś wzbudza jej niepokój i rozkojarzenie. Myśli skaczą z jednych tematów na odległe inne. Telefonicznie i SMS-ami dzieli się z mężem tymi rozterkami i liczy dni do powrotu.

*

Niespodziewanie otrzymuje wiadomość: mąż nie żyje. Jej reakcja: *Świat wstrzymał oddech, by po chwili wyrzucić z siebie strumień żalonych słów. Aurora słów. To był skowyt duszy.*

Taka wiadomość powala każdego, ale co ma do tego i jak należy rozumieć pojęcie „Aurora słów”? Aurora to rzymska bogini, to planetoida, to żeńskie imię, to nazwa rosyjskiego krążownika. Którą „Autoreę” mam wybrać, aby zrozumieć autorkę? Ta słowna konstrukcja jest dla mnie symptomatyczna, bo jeszcze wiele razy musiałam sobie postawić pytanie, co znaczy konkretne sformułowanie.

*

Nagła, niespodziewana śmierć bliskiej osoby zawsze wytrąca z równowagi, każe szukać uzasadnień, odpowiedzi na pytania: dlaczego? A potem: co dalej? jak żyć? Autorka od razu odrzuca wytłumaczenia zrodzone z religii katolickiej. Nie tędy droga. Bliższe jest jej uzasadnienie śmierci w biologii, ale ono nie wystarcza. Szuka w fizyce, w filozofii, w kosmosie, w podświadomości. Przeskakuje z jednej sfery do drugiej, miota się intelektualnie, szuka po omacku. Pisze:

Śmierć to tylko transformacja, choć także traumatyczne wydarzenie, kiedy świadomość przenosi się do transcendentalnego świata. Dzieje się coś w moim życiu i to coś przepływa do innej rzeczywistości. Przyszłość to czas, który nas czeka. Przeszłość już nie istnieje, jest chwila obecna, która przekształca przyszłość w teraźniejszość. Nie wiem, ile trwa TERAZ, ale logika wskazuje mi, że bardzo krótko. Czas Plancka to najmniejsza długość w sensie fizycznym. Wszystko jest już historią. Zostałam sama ze sobą, ze swoim lustrem (s.176-177).

Nie rozumiem tego wywodu. Nawet nieskoordynowany potok myśli winien być utrzymany w jakimś porządku. W rozmyślaniach Łucji Fice brakuje mi podstawy, opoki, na której buduje swoje przemyślenia. Odrzuciła racjonalizm, odrzuciła religię. Raz buduje swoją teorię istnienia na prawach fizyki, upatrując uzasadnienia w konstrukcji atomu. Ale chyba sama mało w to wierzy, bo nie przekonuje czytelnika, przynajmniej mnie. Kiedy indziej za najważniejszą uznaje sferę intuicji i podświadomości, sferę snów, które wyznaczają nie tylko zdarzenia, ale jej myślenie. Kto chce, niech wierzy.

Autorka zastanawia się:

Czy czasami nasza świadomość to nie gigantyczny komputer, w który zostały wpisane programy na różnych poziomach? Dziwi mnie, dlaczego WSZYSTKO WIE O WSZYSTKIM. Och! Te TAJEMNICE! Dobrze, że świat je ma, a my, jako rasa ludzka, jesteśmy od tego, by je rozwiązywać, choć raczej nie poznamy działania świata, bo świat zmierza w kierunku samozagłady (s.192).

O co tu chodzi? O nadanie najwyższej rangi świadomości? Ale jeśli świadomość zawiera tajemnice, a my powinniśmy je rozwikłać, to dlaczego konsekwencją ma być samozagłada?

*

W ostatnich zdaniach książki autorka znajduje odpowiedź na pytanie, co jest najważniejsze. Po analizie rozlicznych sfer filozoficznych, fizyki jądrowej i podświadomości jest to konstatacja zaskakująca: *Nic się nie zmieni, dopóki nie zmieni się serce człowieka. Uważam, że istotną rolę odgrywają emocje i intuicja. Wszyscy mamy intuicję, mniejszą lub większą, i w przypadku kierowania się nią zyskujemy, a nie tracimy, bo RACJE to narzędzia umysłu, a one nas często zwodzą, bo jesteśmy wszyscy jak cząsteczki patrzące na siebie. Oby patrzeć sercem.*

Przekonanie, że trzeba patrzeć sercem, ludzkość wymyśliła już dość dawno temu. Mnie przeraża świat, w którym kierunek działaniom będzie wyznaczać intuicja. Czy nasz świat nie idzie w stronę bezmyślności właśnie dlatego, że coraz bardziej kierujemy się emocjami, intuicją, a nie rozumem?

*

Swoim rozważaniom Łucja Fice nadała tytuł „Druga strona grzechu”. Co jest tym grzechem, którego drugą stroną mamy w książce poznać? Nie wiem. W tekście znajduję wiele sformułowań, które autorka zapisała chyba spontanicznie, bez ich domyślenia. Muszę wskazać przykłady:

– *W dole błyszczą jezioro jak magma, jak ognista materia, jakby Bóg myślał kolorami, w których nie ma granic. Taka didaskalia barw (s.107).*

– *Nie dopuszczam męża do słowa, powracam do panteonu przeszłości (s. 109).*

– *Dopóki nie zmieni się człowiek i nie uformuje w nim cząsteczek wody w piękne kryształki, dopóty będą wojny i konflikty (s. 121).*

– *Poczułam się, jakby atomy moich rzęs drgały w świetle kosmicznego tańca światła, a ja byłam tylko ich wylegarnią (s. 120).*

Cóż, jeśli autor myśli intuicyjnie, to jest mu bardzo potrzebny dobry redaktor książki. Jedni czytelnicy zapewne przelatują przez te rozmyślania w poszukiwaniu dalszego ciągu opowieści, jak się często przelatuje przez zbyt długie opisy przyrody. Ale może dla innych właśnie te dywagacje są najważniejsze, nawet bez ostatecznego i jednoznacznego rozstrzygnięcia, co to jest śmierć i jak żyć w jej zagrożeniu. Stąd pewnie w jakimś sensie sukces wszystkich książek Łucji Fice oraz zainteresowanie wydawców i krytyków.

*

Łucję Fice dotknęła prawdziwa tragedia, czyli niespodziewana śmierć męża. W takiej sytuacji człowiek staje się bezsilny, wszystko się zawala i traci znaczenie. Żyjemy w świecie natłoku informacji, przekonań, sprzecznych racji, karkołomnych interpretacji. Łucja Fice poddała się rozlicznym sprzecznościom, które do niej docierają. Aby na nowo poukładać sobie świat, musiała zapisać te skłębione myśli, dalekie skojarzenia, nowinki płynące z różnych stron, które wydały się jej adekwatne do sytuacji. Poszukiwanie jest cennym przymiotem człowieka, ale lektura książki nie przekonuje mnie, że autorka znalazła sens życia.

Krystyna Kamińska

* * *

Łucja Fice, „Druga strona grzechu”, Warszawa Firma Wydawnicza, Warszawa 2019, 192 s.

BIBLIOTEKA PROMUJE
WĘDKARZA

Słowa „żgajok” nie ma w Wikipedii, a mimo to **Roman Habdas** swojej książce nadał tytuł „Żgajoki i inne opowiadania”. Słownik gwary poznańskiej odnotowuje słowo „żgajek”, co oznacza „chłopak, wyrostek”. Habdas zapisuje nieco inną jego wymowę oraz wprowadza nowe znaczenie. Dla niego żgajoki to cierniki, małe słodkowodne rybki z kolcami przy płetwach. Określenie to pochodzi z żargonu wędkarskiego. Dla użytkownika zwykłego, codziennego języka jest to termin nieznany, a tym samym zaskakujący. Czy przyciąga uwagę?

Do przeczytania tej książki zachęciło mnie utrzymanie w nostalgicznym tonie zdjęcie wędkarza na łodzi z odbiciem jego sylwetki w spokojnej toni jeziora. Autorami wszystkich wędkarskich zdjęć są panowie Adam Habdas i Roman Habdas.

*

Roman Habdas zapisał się w gorzowskiej literaturze jako autor czterech tomów wierszy: „W ramionach Drawy” (1995), „Żucie szczawiu” (2007), „Z gliny ulepieni” (2009) i „Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie” (2017). Jest także autorem powieści „Mały Paryż” opartej o wspomnienia z dzieciństwa, które spędził w Mosinie koło Poznania.

Amatorsko zajmował się kręceniem filmów i robieniem zdjęć, ale podstawową jego pasją jest wędkarstwo. W 1991 r. został mistrzem Polski w wędkarstwie spinningowym oraz drużynowym brązowym medalistą w tej dziedzinie, był członkiem kadry narodowej, jest jednym z czołowych wędkarzy okręgu gorzowskiego.

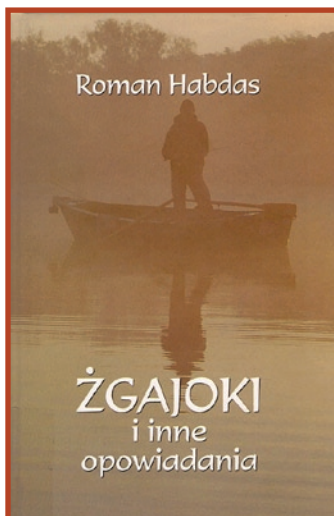
*

Na najnowszy tom opowiadań składa się 12 historii osobiście przez autora przeżytych od czasów dzieciństwa aż do 2018 r. Wszystkie wiążą się z wędkowaniem. Jest więc najpierw odkrywanie przez nastolatka nowego świata wody i ryb, potem doskonalenie się w metodach ich chwytania, smak mistrzostwa, wreszcie spokojna codzienność wieku dojrzałego, oczywiście z rybami. Obserwujemy zmieniające się obyczaje w wędkarskim świecie, coraz lepszy sprzęt, nowe metody w pozyskiwaniu ryb itd. Są męskie przyjaźnie, te od wspólnych wypraw, ale także od wspólnej pracy, jak z Jerzym Gąsiorkiem. Jest zachwyt dla przyrody o każdej porze dnia, miesiąca i roku. Nawet zadowolenie z przemoknięcia na deszczu lub przeżycia ostrej burzy.

*

Cóż tu ukrywać: wędkarstwo jest mi dalekie, nie rozumiem, jak można w zimnie kilka godzin siedzieć na wodzie, aby złowić parę drobiazgów i wrzucić je z powrotem do wody. Nie zachwycają mnie przemiany techniczne, nie pojmuję, co na co trzeba włożyć, aby oszukać rybę. To nie jest świat, w którym dobrze się czuję.

A przecież czytałam opowiadania Romana Habdasa z pełnym uznaniem dla jego barwnego języka, dla zaskakujących skojarzeń. Roman jest przede wszystkim poetą, umie wnikli-



wie nazwać otaczający go świat i znaleźć skrót tak celny, jak bywają metafory w wierszach. Jednak komplement o żonie: „Jola ciągle zachowuje gibkość i spryt głowacicy” jest dla mnie zbyt... zaskakujący.

*

Choć przez całe życie mieszkał w miastach, wędkarska pasja dała Romanowi Habdasowi umiejętność patrzenia na przyrodę, wrażliwość na jej przemiany, współodczuwanie i świadomość jej znaczenia dla przyszłych pokoleń. Tymczasem w znanej sobie enklawie obok Mosiny, ale także w tysiącach innych miejsc w Polsce, widzi przemiany, które budzą jego prawdziwy gniew.

Muszę tu przytoczyć dłuższy fragment, by pokazać nie tylko bunt autora, ale także jego dalekowzroczność:

Mosińska osobliwość na granicy Wielkopolskiego Parku Narodowego została oskalpowana jednym urzędowym podpisem. Tym samym podpisem odebrano moim i Waszym wnukom, prawnukom i wszystkim jeszcze nienarodzonym prawo do sylenia się kameralnymi meandrami, odkrywania rzecznych podmyć i rynien, obserwowania zza gęstych iw tarła kleni, spod nawisów kruszyny żerowania boleni. Zdlawiono jedyną w najbliższej okolicy taką rzeczkę, przeryto i wyprostowano jej brzegi. (...) Z nurtu przy wysokim miniklifie, takim urwistym brzegu na granicy iglastego lasu, w którym gniazdowały jaskółki brzegówki, powyciągano zwałone sosny. Tylko czekać, jak zrobią przez oczyszczony z drzew cypel przepokop, odetną urocze zakole, poprawią dzieło Pana Boga... W okolicy, w której mieszkacie, pewnie też znajdziecie podobną rzeczkę zniszczoną umysłami i rękami meliorantów. Sponiewieraną, ujarzmioną, opalikowaną... Wiatr nad nimi nieprzyjazny, a ptaki tylko przelotem...

*

Choć nie rozumiem wędkarzy, choć nie lubię siedzieć w łódce na wodzie przy ośmiu stopniach ciepła i podczas deszczu, choć nie odróżniam technik zwabiania ryb, jednak lektura opowiadań Romana Habdasa pokazała mi, że to ja nie zauważam uroków świata, które widzą wędkarze, że nie mam wrażliwości, jaką zdobywa się w bliskim kontakcie z dziką przyrodą, że nie obejmuję konsekwencji naszej cywilizacji, która niesie zniszczenia. Choćby tylko dla zdobycia takiej świadomości trzeba przeczytać „Żgajoki”, nawet jeśli – moim i Waszym zdaniem – za dużo tam opisów kolejnych brań.

Dobrze, że Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, czyli wydawca tej książki, miała odwagę ją od autora wyciągnąć, a następnie wydać. Nawet jeśli nie-wędkarzy wśród jej czytelników jest – jak myślę – więcej niż wędkarzy.

* * *

Roman Habdas, „Żgajoki i inne opowiadania”, zdjęcia Adam Habdas i Roman Habdas, wyd. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, Gorzów Wlkp. 2019, 176 s.

ŻGAJOKI

(„Po burzy” – urywek)

Spinningowanie, kiedy i gdzie się zaczęło? Moje krótko po wojsku, po żeniączce, gdy trafiłem do miasta nad dolną Wartą. Ale na opowiastkę o tym przyjdzie jeszcze pora. Czuję lekki chłód, leje jak z przysłowio-
wego cebra i wali piorunami tak, jak to zapamięta-
łem z dzieciństwa. Przysiadam na zboczu wyłożonym
trylinką, na krawędzi wystającego betonu. Zdejmuję
z ramienia torbę, opieram o nią wędzisko. Przenoszę
spojrzenie znad nurtu i dostrzegam wokół coś więcej,
roztrzaskane wokół butelki, połyskujący metaliczne
„latawiec”, czyli opakowanie po chrupkach, cekiny
kapsli i, jak pod każdym niemal mostem, uwolnione
z trzewi... gówno! Odwracam głowę, z kieszeni spod-
ni wyjmuję mentosa, rozwijam i pakuję do sznupy lu-
krowaną drażetę. Przypominam sobie o wyostrzeniu
grotów. Sięgam po zabezpieczoną przed utonięciem
w wodzie cienkim sznurkiem, przytroczoną do kie-
szonki kamizelki minioselkę. Zmałpowałem to od
Dzordzia. Stachu też taką nosi i nieustannie powtarza,
że za rzadko wyostrzam haki, że kiedyś z takiego leni-
stwa stracę rybę życia.

Jaka ona będzie? Jeśli trafiona na spinning, to me-
trowy szczupak albo sandacz. Ooo! Taka ryba wyma-
lowałaby na mojej gębie banana. Nie! Lepiej troć, za
którą od wielu lat gnam na Pomorze. Nad Słupię, Par-
sętę, Regę. Kiedyś w lutym, nie powiem, trafił mi się
kelcik. Niewielki, w centymetrach trochę po pięćdzie-
siątce a dobrze przed sześćdziesiątką. Jedyne, jakiego
przytuliłem.

Kilka lat później, w trakcie ogólnopolskich zawo-
dów nad Parsętą, walnęła mi spod przeciwległego brze-
gu taka – no, no! Gdy się zameldowała, myślałem aku-
rat o... niebieskich migdałach. I było zaskoczenie, i nie
było właściwej zacinki. Spore rybsko zeszło na środek
szerokiej w tym miejscu rzeki. Stałem na szczęście na
odkrytym brzegu, dobrym do holu i lądowania ryby.
Ale nie miałem, jak mi to później wytknął Stachu, za-
ostrzonych grotów. A tępe groty może mieć tylko tępy
wędkarz, który nie słucha swojego guru. Skuliłem wte-
dy uszy po sobie i przyznałem mu rację.

Szlachetnej, chlubiącej się płetwą tłuszczową ryby
wówczas nie ujrzałem. Sprowadziłem ją, co prawda,
ze środka w rynnę po swojej stronie, ale... W takich
momentach, kiedy hol jest we wstępnej fazie, nie
można jeszcze wypatrywać miejsca do lądowania.
To odwraca uwagę od najważniejszego, od precyzji
prowadzenia ryby. No i ta wykorzystała moją tępotę.
Zamłynkowała i heja! Poczułem na żyłce luz, który
nisko opuścił mi dolną wargę. W październiku, po
ostatnich zawodach z cyklu „Grand Prix”, rozmyśla-
łem, że gdybym „to coś” w lutym wyciągnął, przygo-
da z kadrą potrwałaby dłużej.

A może niewyjęta ryba uratowała mnie przed zadu-
faniem i pychą? Na wędkarskich ścieżkach poznawa-
łem dotkniętych taką przypadłością mądrali. Supereks-
pertów od zachowań na łowisku, speców prowadzenia
przynęt każdego sortu, wszechznawców wędzisk i „krę-
ciołków”, żyłek i plecionek, i wszystkich niezbędnych
detali. Tryskali katalogową wiedzą. Brakowało im sub-
telnej, o człowieczej skromności, która zawiązuje nie-
rozerwalne więzy pomiędzy wędkarzami.



*Popłynąłem
w obrzańskie
rozlewiska,
gdzie żerowało
stado... kozo-
ków i kilka
prawdziwców.*



SOPLICOWO ZDEWALUOWANE

Na początek trochę przypomnienia: Adam Mickiewicz dostał nakaz wyjazdu z Wilna w 1824 r. i został zesłany na pobyt w Rosji. Przebywał w Moskwie, na Krymie, w Petersburgu, a w 1829 r. udało mu się wyjechać do Europy Zachodniej. Najpierw był w Niemczech, potem długo podróżował po Italii, ostatecznie osiadł w Paryżu. Ale zanim z Wielką Emigracją dotarł do Paryża, na przełomie 1830 i 1831 r. przez pół roku był goszczony w szlacheckich dworach Wielkopolski. Przyjechał, aby wziąć udział w powstaniu listopadowym, ale dotarł, gdy już wygasła. W Wielkopolsce wróciły do niego wspomnienia z rodzinnego litewskiego dworku, a jednocześnie uświadomił sobie, że szlachecki świat odchodzi w przeszłość.

Z takich oto pobudek powstał „Pan Tadeusz”, genialna opowieść o ostatnim przebłysku nadziei, czyli wkroczeniu wojsk Napoleona w 1812 r. Mickiewicz wiedział, jak się skończył w Polsce napoleoński epizod, ale tego w poemacie nie ma. Dominuje nadzieja. I uroda odchodzącego świata z jego blaskami i cieniami. Świata wyidealizowanego.

*

Czytamy „Pana Tadeusza” w szkole, najczęściej z przymusu lub tylko we fragmentach, na ogół mało z niego zapamiętując na życie. Rzadko kto wraca do niego później, zadowolając się filmem Andrzeja Wajdy jako formą przypomnienia.

W mroźnym styczniu 2019 r. dziadek Marek Bucholski codziennie czytał wnuczce Emilce jedną księgę, a potem z nią o tym, co przeczytali, rozmawiał. Z tej lektury, z przemyśleń i rozmów, powstał zaskakujący poemat „Podróże w świat Sopliców moimi ścieżkami”.

*

Marek Bucholski, gorzowianin, prawnik, od kilkunastu lat z żoną Ewą jeździ po świecie, najchętniej do miejsc nieczęsto odwiedzanych przez turystów. Swoje wrażenia i przemyślenia przenosi do książek. Wydał:

– „Podróże dość dalekie” (północne Chiny, wschodnie Chiny, Afryka Południowa, Ekwador, zachodnia Amazonia, Andy i Galapagos),

– „Podróże na koniec świata” (indonezyjskie wyspy Jawa i Bali, andyjskie lodowce i jeziora Argentyny, Ziemia Ognista, Patagonia argentyńska i chilijska, Buenos Aires, Santiago de Chile),

– „Podróże do miejsc czarownic” (Wenezuela od Morza Karaibskiego przez sawanny po wyprawy w góry i do dżungli na granicy z Brazylią oraz Peru, Boliwia i Japonia),

– „Podróże ku barwom świata” (Stambuł, Etiopia od granicy z Erytreą do granicy z Kenią, Kuala Lumpur, Singapur, Sumatra, północny Wietnam, południowe Chiny, Macau i Hongkong),

– „Podróże do krain niezwykłych” (góry i sawanny Kenii, Mombasa, Sikkim i Himalaje, Kalkuta, Sundarbans i Delta Gangesu),

– „Podróże duktami historii” (Genua, Rzym, Palermo, Malta, Barcelona, Marsylia oraz Meksyk od Pacyfiku do Atlantyku),

– „Podróże magią malowane” (Afryka Zachodnia, Sri Lanka, Dubaj).

Wszystkie dostępne w gorzowskiej Bibliotece.



*

Wszystkie książki Marka Bucholskiego z założenia mają dwie płaszczyzny. Jedna to prezentacja dalekiego, nieznanego nam świata z jego historią i oryginalną przyrodą. Zawsze dużo miejsca autor poświęca ludziom, ich zajęciom, codzienności, wierzeniom, obyczajom i tak dalej. To część dla tych, którzy marzą o dalekich podróżach. Ale z tomu na tom Bucholski poszerza inny wątek: spojrzenie z tamtej perspektywy na nasze, polskie i europejskie sprawy: nasze obyczaje, nasze wierzenia, nasze polityczne spory. Diagnostą rzeczywistości autor opiera nie tylko na obserwacjach, ale także uwzględnia ciekawe lektury, głównie socjologiczne. Snuje refleksje o uchodźcach, czyli o wiecznych migracjach ludów, o europejskim chamstwie, z jakim nigdy nie spotkał się w „dzikich” krajach, o miłosierdziu i pomocy, której model lansowany przez Matkę Teresę w Indiach wcale się nie sprawdził. Zajmuje go pozycja kobiety, stosunek do seksu, a stałym motywem obserwacji jest sfera higieny. Bardzo dostaje się polskim „urzędnikom Pana Boga”. Z perspektywy innych religii autor dobitnie widzi, jak silnie Kościół ingeruje w nasze codzienne życie i jak katolicyzm ubezwłasnowolnia człowieka.

*

A teraz wybrał się do fikcyjnego Soplicowa bez podróży, tylko czytając „Pana Tadeusza”. Zasadnicza odmiana polega również na tym, że siedem pierwszych książek napisanych jest prozą, a ostatnia wierszem, regularnym dwunastozgłoskowcem. I jeszcze, że tamte są obszerne i ze zdjęciami, a ta jest skromna, liczy zaledwie 30 stron.

*

Ale metoda ta sama: punktem wyjścia jest to, co w tekście, a dalej refleksje autora. Na przykład o Zosi:

*Ale Zosię ciągną jeno wiejskie strony
Te kurki, kogutki, w ogródeczku kwiatki
Po cóż rozum większy u przyszłej mężatki
Bo o wszystkim mąż jej decyduje. Przecie
Pisał święty Paweł o tym w swym dekrete
Że kobiety męża swego poddankami
I pod jego służą wiernie rozkazami.
A święty Hieronim słowy uczonymi
Wzbraniał paniom kąpać i być moczonymi...*

I dalej opowieść o pozycji kobiety w religii katolickiej, o wpływie tej religii na polską obyczajowość i generalnie, że mickiewiczowska rozanielona Zosia to po prostu głupie dziewczętko.

Podobnie rozprawia się Bucholski z Telimeną, która tylko łowiła męża, z Tadeuszem, narwanym młokosem, z zadufanymi w sobie Asesorem i Rejentem. Najwięcej dostaje się sędziemu Soplicy za to, że sprzyjał konfederacji targowickiej (1792), za co dostał zamek Horeszków, o który teraz, po blisko 20 latach, ciągle toczy się sądowa sprawa. Związek z Targowicą oznaczał równocześnie opowiedzenie się przeciwko polskiemu królowi Stanisławowi Poniatowskiemu, a za carycą Katarzyną. I jak się teraz ma patriotyzm sędziego? W „Panu Tadeuszu” ten aspekt nie jest uwypuklony. Mickiewicz stwierdza, że jest spór, ale nie docieka jego

podstawowych przyczyn. Przesuwa akcent na romantyczną miłość Jacka Soplicy do Ewy Horeszkówny, wybiera czarną polewkę zamiast konfliktu Polski z Rosją. Mało kogo zastanawia, dlaczego po śmierci wojewody nie jego córka Ewa została sukcesorką zamku, a sędzia Soplica. Marek Bucholski nie odkrywa tajemnicy, historycy literatury i wnikliwi czytelnicy znają tę przyczynę, ale Mickiewicz tak zręcznie ją zasłonił nieszczęśliwą miłością, że czytelnik problemu nie draży. A Marek Bucholski tak.

*

Najbardziej dostaje się polskiej szlachcie, która:

*Patriotyczna szlachta tam w Polszcze mieszkała
I się patriotycznie w trupa zalewała (...)*

Marek Bucholski nie byłby sobą, gdyby nie wskazał na współczesne konsekwencje tamtej szlacheckiej obyczajowości. Dla niego wszystko się zgadza, poza tym, że u Mickiewicza rokiem pamiętnym był Rok Dwunasty (1812), a u Bucholskiego Rok Piętnasty (2015), rok wyborów, gdy to:

*Kasta święta szlachty krajem zawładnęła
Jej racja na górze, inna zaginęła (...)
Nasze racje dobre i nam Polską władać
Będziemy łby ścinać ostrymi szablami
Niebo nam pomoże, bo wszak Niebo z nami
Nikt nie będzie gęby wycierać prawami
Bo my sobie prawo ustalamy sami
Nam nie trzeba prawa w papierze spisanim
My się rządźmy prawem gardłem ustalanim
A gdy ktoś zakrzyknie, że spisać potrzeba
Sejmy nocą skrzyknijemy i spiszę co trzeba.*

Wiele innych problemów podejmuje Bucholski, a wszystkie wyrastają z portretu Polaka opisanego przez Mickiewicza. Że patriotyczny Jankiel może wszystko wiedzieć o polskiej historii i czuć się Polakiem, ale przede wszystkim jest Żydem, więc dla niego we dworze miejsca nie ma. Że szlacheckie polowanie to okazja do mordowania zgonionych w tym celu zwierząt, a potem do popijawy. Że patriotyczna misja Jacka Soplicy sprowadza się do obudzenia najgorszych cech szaraczkowej szlachty, która umie jedno – zrobić zajazd na cudzą własność. A najczęściej dostaje się polskiej odmianie katolicyzmu, który pod płaszczykiem wiary dopuszcza zemstę, rozboje, nadużycia finansowe, hulaszczy tryb życia i dziesiątki grzechów dawnych i współczesnych Polaków.

*

Marek Bucholski do głównego tytułu „*Podróże w świat Sopliców moimi ścieżkami*” dodał drugi człon: „*A czy zbyt występne, dacie notę sami*”. Moja nota jest pozytywna.

Poemacik inspirowany Mickiewiczem zwyczajnie mnie zabawił. Autor nie kreuje się na poetę. Mickiewicz napisał swój poemat trzynastozgłoskowcem (7+6), Bucholski przyjął łatwiejszą formę dwunastozgłoskowca (6+6). Utrzymuje średniówkę, ale nie bawi się w przerzutnie, myśl albo zdanie najczęściej kończy na końcu wersu. Stosuje proste rymy, często nawet banalne, gramatyczne, nie takie bogate jak Mickiewicz. Ale ta prostota wiersza powoduje, że czyta się go dobrze, łatwo i przyjemnie. Natomiast w pełni zgadzam się z interpretacją Bucholskiego. Bardzo dużo w nas ze szlachty rodem z Fredry i Mickiewicza. Oj, dużo... Posłuchajcie dzisiejszych wiadomości...

Marek Bucholski, „*Podróże w świat Sopliców moimi ścieżkami. A czy zbyt występne, dacie notę sami*”, wyd. Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2019, 30 s.



MARZENIA O ZACHODZIE

Marek Ratajczak w 1992 r. zrobił maturę w Technikum Samochodowym w Gorzowie. Wcześniej z kolegami wybrał się na dzień do Berlina. Wtedy trzeba było mieć odpowiednie dokumenty, Polska jeszcze nie weszła do Unii Europejskiej. Choć chłopcy czuli się totalnie zagubieni, tamto spotkanie z wielkim Berlinem zrobiło na Marku ogromne wrażenie. Postanowił: chcę tam mieszkać. Prawie trzydzieści lat później Marek Ratajczak spisał swoje losy i przedstawił je czytelnikom w książce „Jak wiśnia w kompot”.

*

Ze zdziwieniem odkrył, że jego dziadek w linii męskiej urodził się w Niemczech, a to wystarczyło, aby mógł uzyskać obywatelstwo niemieckie. Uzyskał. Wtedy wydawało mu się, że złapał Pana Boga za nogi. Ale jako Niemiec nie miał prawa do bezpłatnego kursu nauki języka niemieckiego. Nie został uznany jego dyplom ukończenia szkoły średniej, bo Niemcy nie kończą szkół w Polsce. Gdyby był Polakiem, to bardzo proszę, dyplom by się liczył. Żeby być zapisanym w biurze pracy i otrzymywać zapomogę, trzeba było mieć zameldowanie. Kto zamelduje Marka i na jakich warunkach? Jeszcze nieraz zaskakiwały go przepisy, z których wcześniej nie zdawał sobie sprawy. Z drugiej strony jako obywatelowi Niemiec należała mu się zapomoga dla bezrobotnych, która w Polsce okazywała się nadszpiegowaniem wysoka. Miał też prawo do komunalnego mieszkania, kiepskiego bo kiepskiego, ale zawsze... Tylko pracy dla niego, jako Niemca, nie było.

*

Tymczasem Marek po ukończeniu szkoły szybko ożenił się z Małgorzatą, której zadedykował tę książkę. Urodził się syn Kacper i życie między Berlinem a Gorzowem z niemiecką zapomogą nie nosło perspektyw. To Małgorzata zdecydowała, że przeniosą się do Berlina, nawet w najgorsze warunki, byle samodzielnie budować przyszłość. Rzeczywiście łatwo nie było. Pracę na budowach Marek dostawał tylko dzięki osobistym kontaktom z Polakami, wśród nich często kolegami ze szkoły lub z Gorzowa. Ciężka to była praca, a wynagrodzenie niższe niż dla Niemców. Do tego miał chory kręgosłup. Znów: to nie jest zajęcie na życie, więc trzeba je zmienić. Ale teraz już był pewniejszy, lepiej znał język, więc łatwiej było znaleźć coś, co dawało szansę na łatwiejsze życie. W Berlinie urodzili się dwaj synowie, a rodzina zmęczona była kiepskimi mieszkaniami i wielkim miastem. Koleżanka z Gorzowa zaprosiła Marka do Paderbornu. Pojechał, zobaczył. Tam się przenieśli. To miasto bardziej przypomina Gorzów.

*

Streszczenie nigdy nie odda temperatury książki, aby więc w pełni poznać losy nie tylko Marka z Gorzowa, ale wielu innych Polaków, którzy zdecydowali się na zamieszkanie w Niemczech, polecam lekturę. Trudno napisać książkę, która oddawałaby wszystkie blaski i cienie prawdziwego życia, ale ta bliska jest tego. Napisana dobrym językiem, potocznie, naturalnie.

Tylko dlaczego tytuł „Jak wiśnia w kompot”? Polskie porzekadło „wpaść jak śliwka w kompot” wykorzystuje śliwkę, nie wiśnię, a oznacza: znaleźć się w niezręcznej sytuacji, w kłopotcie, wpaść w pułapkę. Przy pierwszej wizycie w domu Marka Małgorzata przyniosła choremu chłopakowi kompot z wiśni. Czy na pamiątkę tamtego kompotu? Marek nie ma poczucia, że znalazł się w pułapce. On chciał takiego życia, jakie dzisiaj ma, a więc także „nie wpaść”. Na okładce jest jeszcze uzupełnienie tytułu, choć nie ma go na karcie tytułowej: „marzenia o Zachodzie”. I to jest to.

Prezentowana książka jest chronologicznie jego pierwszą, choć wcześniej Marek Ratajczak wydał powieść science fiction „Zanim skoczysz do rzeki”. Pisałam o niej w „Pegazie” i w „Echu Gorzowa” (<http://www.echogorzowa.pl/news/31/czytajzemna/2018-11-01/co-po-unii-europejskiej-23183.html>).

Dwie powieści na koncie, wniosek: mamy gorzowskiego pisarza w Niemczech.

Marek Ratajczak, „Jak wiśnia w kompot”, wyd. LaGe Publishing, Paderborn 2019, 172 s.

Egzemplarze tej i poprzedniej książki autor przekazał do gorzowskiej Książnicy

KSIĄŻKA BARDZO RODZINNA

„Pelunia” to spisana przez córkę opowieść o matce. Takich matek jak Pelagia Bilińska były i są tysiące. Niestety, niewiele córek potrafi tak dobrze pisać jak Hanna Bilińska-Stecyszyn.

*

Matka – Pelagia Bilińska zwana zdrobniale Pelunią, urodziła się w 1919 roku w Poznaniu, zmarła 19 grudnia 2011 roku w Gubinie, gdzie mieszkała z rodziną po wyjściu za mąż w 1951 roku. Żyła w trzech Polskach: przedwojennej, w Polsce Ludowej i w wolnej Rzeczypospolitej Polskiej. Ale nie to jest dla córki najważniejsze. Znacznie dla niej ciekawsze: jakie potrawy mama gotowała na obiad, jak się ubierała, jak zwracała do męża i do dzieci, jak odpoczywała, co ją interesowało, a czego nie lubiła. Że wiecznie pracowała przede wszystkim w domu, a także trochę tam, gdzie była zatrudniona. To jest książka o codziennym życiu z jego blaskami i cieniami, o setce drobiazgów, które kiedyś były w użyciu, a teraz zostały wyrzucone, o wyposażeniu domu, który zastąpiliśmy nowymi meblami, o ubraniach, gazetach, książkach.

Hanna Bilińska-Stecyszyn ma niezwykłą pamięć rzeczy. Ze wspomnień przywołała klimat lat 60. i 70., gdy już umiała obserwować swój mały świat i z sentymentem go wspomina. To ogromny walor tej książki.

*

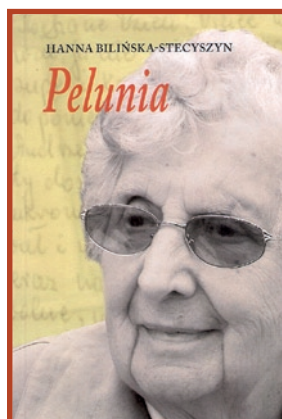
Ale najważniejsza w tej książce jest miłość autorki – Hanny do matki – Pelagii lub zdrobniale, z tkliwością – Peluni. Tę tkliwość przejęła od matki, która swoją mądrą miłością obdarzała córkę, syna Andrzeja, swoje siostry, przyjaciół i znajomych, nawet męża, choć na ten temat tu niewiele. To ona nauczyła dzieci i wnuki serdeczności w stosunku do siebie i do świata. Ta wzajemna miłość widoczna jest na każdej stronie książki, a ostatni rozdział, gdy dorosłe dzieci żegnają odchodzącą matkę, najbardziej poruszający.

*

Takich zwykłych matek obdarzających szczerą miłością dzieci i świat jest bardzo dużo. Każdej należy się podobna książka, ale niewiele ich powstaje. Książka jest świetnie napisana. Autorka swobodnie porusza się w materii języka, opowiada barwnie, dowcipnie, serdecznie. Wciąga czytelnika w swój zwykły świat, pokazuje jego kolory, przekonuje, że Pelunia zasługuje na najwyższą miłość.

Książka o matce jest jej pierwszą wydaną. Wcześniej dwa jej opowiadania zostały opublikowane w antologiach.

Hanna Bilińska-Stecyszyn mieszka w Lubniewicach. Prowadzi blog, w którym spisuje zdarzenia i myśli i gdzie można przeczy-



tać jej ok. 20 opowiadań. Dobre. Polecam. Tam także wiele życzliwych podziękowań za „Pelunię”. Zajrzyjcie: <https://kobietadomowa.wordpress.com/2019/05/30/pelunia-universalna/>.

*

Książkę o Peluni czytałam jednym tchem. Myślałam przy tym, że tak powinno być zapisane życie każdej matki. Na pewno takie książki mają duży wpływ na jedność i stabilność rodzin. Dlatego bardzo zachęcam do pisania o swoim domu, o swoim

życiu. Nawet tylko w jednym egzemplarzu, dla najbliższych.

*

A jednak po lekturze czuję pewien niedosyt. Hanna Bilińska-Stecyszyn napisała wspomnienie, rodzaj pamiętnika. Gatunek ten zaliczany jest do literatury pięknej tylko wtedy, gdy predestynuje go jakoś zapisu. Autorka ten próg łatwo pokonała. Więc o co chodzi?

Rodzina mieszkała w Gubinie, mieście po wojnie podzielonym między Polskę i Niemcy, mieście, w którym działa się historia. Tu historii nie ma.

Mama Pelagia pochodziła w Poznania, ojciec Józef – tu częściej zwany Bilinkiem – z Warszawy. Jak się wzajemnie do siebie dopasowywali, jak tolerowali poznańskość i warszawskość swoich korzeni? Jak wpisali się w obcy im najdalszy zachód? To są problemy socjologiczne, ale w wymiarze rodzinnym przeżywali je wszyscy wysadzeni ze swoich miejsc.

Rodzina żyła w Polsce, kiedy zachodziły znaczące przemiany od stalinizmu po całkowitą polityczną wolność. W książce nie ma nawet echa tych przekształceń.

Można wskazać jeszcze kilka zagadnień o szerszym zasięgu, w których uczestniczyła rodzina Bilińskich. Natomiast Hanna świadomie zatrzymała się na poziomie domu z jego codziennością. Mnie zabrakło właśnie przeniesienia tej rodzinnej opowieści na trochę szersze tło polityczne i społeczne.

*

Literatura piękna to tworzenie nowego świata i zaludnienie go ciekawymi postaciami. Hanna Bilińska-Stecyszyn pokazała stary świat i w nim prawdziwych ludzi. W opowiadaniach już podjęła próby budowania własnego literackiego, w blogu zapowiada, że ma dużo pomysłów na następne książki. Mam nadzieję, że będą to dobre powieści.

Hanna Bilińska-Stecyszyn, „Pelunia”, wyd. Związek Literatów Polskich, Oddział w Zielonej Górze, Lubniewice 2019, 216 s.



Na zdjęciu autorka z mężem

WIELKA POWIEŚĆ O EXODUSIE I SZTUCE

Iwona Żytkowiak napisała znakomitą książkę. Jej główną bohaterką jest Roma Kaszczyk, znana i ceniona plastyczka z Barlinka. Ale to nie jest powieść o Romie. Albo: nie tylko o Romie.

*

Zacznijmy od oryginalnej konstrukcji powieści. Każdy z sześciu rozdziałów rozpoczyna się od spotkania autorki z bohaterką, co zajmuje ok. 8-10 stron, natomiast pozostałe 40-50 traktuje o różnych etapach dzieciństwa Romy.

*

Roma ze spotkań już nie jest artystką plastyczką, już niczego nie tworzy, bo dotknęła ją śmiertelna choroba. Jest słaba, krucha, delikatna, ale ma w sobie bardzo dużo siły, aby nawet przy tych ograniczeniach być otwartą i życzliwą dla ludzi. Iwona świetnie narysowała postać kobiety odchodzącej, ale ciągle kurczowo trzymającej się życia. Każde spotkanie wzbogaca sylwetkę bohaterki o nowe cechy: a to o upodobania do herbaty, a to o obgryzanie skórek przy paznokciach, a to o sposób mówienia o przyrodzie. Iwona Żytkowiak dała pełny obraz Romy Kaszczyk, a jednocześnie przeniosła go w sferę opowieści o umieraniu. Opowieści o śmierci, która nie oszczędzi nikogo. Żeby nawet był najbardziej zdolny, twórczy i oddany ludziom.

*

Natomiast drugi wątek powieści rozgrywa się w latach mniej więcej 1944-1948. Urodzona w 1938 r. Roma na początku ma sześć lat, a pod koniec 10. W ciągu tych lat zawałił się świat jej i wszystkich Polaków ze Wschodu.

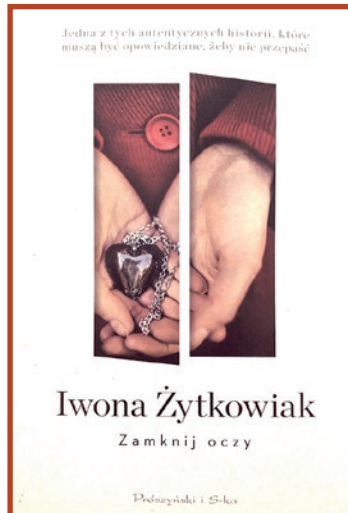
Rodzina Józefczuków mieszkała w Kopiczyńcach, ok. ośmiotysięcznym miasteczku w pobliżu Tarnopola, nad rzeczką Niczławą. Nie należała do bogatych, ale w domu biedy także nie odczuwano. Zwykła rodzina: tata, mama, starszy od Romy o około pięć lat brat Jurek, sześciolatka Roma i dopiero co urodzona Agata, czyli Adzia. Przed wojną w Kopiczyńcach mieszkali obok siebie Polacy, Ukraińcy i Żydzi.

W pierwszym rozdziale mamy sielski świat osadzony w przyrodzie, z dziecięcymi zabawami, z kochającymi rodzicami, ze spokojem i poczuciem stabilizacji. Patrzymy na ten świat oczyma małej Romy, ale jednocześnie dostajemy pełen obraz życia przeciętnej polskiej rodziny we wschodnich województwach.

To początek. Już niebawem rozpoczną się naloży, rządy najpierw Niemców, potem Rosjan, pierwsze trupy, wreszcie napady Ukraińców i rzezie. Na szczęście nie zginął nikt z rodziny Romy, ale życie w zagrożeniu, że w każdej chwili może przyjść najgorsze, na wszystkich miało niezatarty wpływ. Na małą Romę także.

Rodzina decyduje się na wyjazd do Polski. Trzeba zostawić cmentarz, dom, krowę, znajome ścieżki. Wszystkiego żal, nawet rozwalającego się płotu. Trzyma ich tylko nadzieja, że tam gdzieś daleko nie będzie wojny ani sąsiedzkich napadów. Oczekiwanie na pociąg, walka o miejsce, tygodnie jazdy bez świadomości, jak długo jeszcze i co ich czeka. Dla dzieci to ograniczenie przestrzeni życiowej. I wieczne zimno. Wieczny zaduch, wprost smród.

Transport dotarł do Wrocławia i nie mógł jechać dalej, bo most na Odrze został zburzony. Rodziny dostawały przydziały do domków na Psim Polu, czyli na peryferiach miasta. Taką



lokalizacja była dla nich lepsza niż w centrum, bo stąd blisko było na łąkę lub do lasu. Rodzina Józefczuków najpierw została skierowana do bardzo zniszczonego, starego domu. Zamiana wcale nie była łatwa. A jeszcze zgubił się Jureczek z bagażami. Już wysoki, ale przecież to jeszcze dziecko. Więc rozpacz matki, poszukiwanie przez ojca, Roma czuje się odsunięta na dalszy plan. Tymczasem Jurek na własną rękę szuka rodziców. Opis jego wędrówki po Wrocławiu na pewno na długo pozostanie w pamięci każdego czytelnika. Świetnie napisany. Rodzina Józefczuków ostatecznie zamieszkała w porządnym, zasobnym domu, tyle że razem z niemieckimi jego właścicielkami: matką, która połamała sobie ręce, aby stąd nie wyjeź-

dziać, i dwiema jej córkami, dorosłymi kobietami, które z powodu wojny straciły bliskich, a teraz muszą opuścić swój dom. Józefczukowa w pełni rozumiała ten ból. Długo po ich wyjeździe nie pozwalała dzieciom korzystać z dobytku Niemców.

Rozdział ostatni to wrastanie w nowe miejsce ze szkołą w dwóch izbach domu ogrodnika, bo budynek niemieckiej szkoły został zburzony, to kilogramy cukru, którymi ojciec dostawał zapłatę za pracę w cukrowni, to krok po kroku budowanie zwyczajnej codzienności. I Jola, trzecia córka, która Józefczukom urodziła się już tu, na Psim Polu.

*

Roma jest małą, wrażliwą dziewczynką. Chłonie ludowe opowieści o strachach i duchach, łatwo przenosi się w świat fantazji, ale tata wyśmiewa te jej pomysły. Więc zamyka się w sobie, dusi to, o czym nie chcą słyszeć dorośli. Wiecznie jest ograniczana, wiecznie się czegoś boi. Tyle że zadziwia wszystkich swoimi niezwykłymi rysunkami.

Czy z takimi doświadczeniami z dzieciństwa można być artystką? Przecież istotą sztuki jest właśnie wydobywanie bogatego wnętrza człowieka. Jaką drogę musiała przejść, aby z nieśmiałej, zamkniętej w sobie dziewczynki stać się artystką? Bo Roma była naprawdę wielką artystką niezależnie od tego, czy zajmowała się ceramiką, czy malowała, rysowała, pisała wiersze lub baśnie, robiła scenografie. Nawet gdy wypisywała gazetki z okazji 1 Maja lub partyjne hasła, co było jej zadaniem na początku pracy w Barlinku. Jak udało się jej przezwyciężyć ograniczenia z dzieciństwa? Iwona Żytkowiak stawia pytanie, ale nie daje odpowiedzi.

*

Główny ciężar swojej powieści autorka przenosi na życie rodziny Józefczuków, a tym samym na losy tysięcy polskich rodzin, które po 1945 r. musiały opuścić swój świat i zakładać podwaliny nowego w odmiennej scenarii i przyrodzie. Temat – kiedyś mówiło się repatriacji, dziś mówimy przesiedleń – był obecny w polskiej literaturze od dawna. Ale całkiem inaczej pisało się o nim dawniej, gdy polityczne racje kazały widzieć optymistyczne skutki tego procesu, a inaczej teraz, gdy autorów nie wiążą żadne ograniczenia.

Iwona Żytkowiak napisała wielką powieść o polskiej wędrowce ze Wschodu na Zachód. O przeżyciach ludzi i o cenie, jaką płacili uczestnicy tamtego exodusu. Z realiami, ale i z uczuciami. Z myślami, co rozbijają umysł, ale też z zimnem, głodem, robactwem i smrodem. Na szczęście wszyscy Polacy sobie wtedy pomagali, nie niszczyli się wzajemnie.

Iwona Żytkowiak jest autorką powieści przede wszystkim o kobietach. W gorzowskiej bibliotece można wypożyczyć jej książki: „Tonia”, „Kobiety z sąsiedztwa”, „Tam, gdzie twój dom”, „Dokąd teraz?”, „Świat Ruty”, „Czas Łucji”. Nie ma natomiast trzech innych jej książek: „Spotkania przy lustrze”, „Matka mojej matki” i „Wszystkie moje zmartwychwstania”. Na czytelników także już czeka najnowsza powieść „Zamknij oczy”, choć do wypożyczenia tylko w jednym egzemplarzu. Wszystkie powieści Iwony Żytkowiak wydaje znane wydawnictwo Prószyński i S-ka, tylko niewielki tomik wierszy pt. „Żywoć jętki” wydał Oddział w Gorzowie Związku Literatów Polskich, którego autorka jest członkinią. Iwona Żytkowiak mieszka w Barlinku.

*

Znałam Romę Kaszczyk i choć nie mogłam się zaliczać do jej bliskich, każde z nią spotkanie było przeżyciem, bo zawsze z niej emanowało ciepło i wewnętrzna prawda. Mam tylko jeden jej obraz, ale bardzo dużo rysunków, także jej książki, a gliniane ciamarajdy zrobione przez dzieci w jej pracowni ceramicznej ciągle stoją przed wejściem do mojego domu. Nasze wydawnictwo „WAG Arsenal” wydało Romie pierwszą ilustrowaną w kolorze księgę z cyklu baśni i legend pt. „Duchy z puszczy rodem”. Jej rysunki towarzyszyły wielu wydawanym przez nas tomikom poetyckim i antologiom, Gdy na parę dni przed jej śmiercią odwiedziliśmy z mężem Romę w gorzowskim szpitalu, była krucha, drobna i słaba, ale z zarem w oczach mówiła tylko o tym, że wszyscy tu, w nieznanym jej miejscu, są dla niej bardzo dobrzy i życzliwi.

Czytałam książkę Iwony Żytkowiak, mając w pamięci postać Romy i za takie jej utrwalenie ogromnie autorce dziękuję. Ale nie tylko względy uczuciowe mają wpływ na moją ocenę tej książki. Moja świadomość odbioru dzieła literackiego i wewnętrzny krytycyzm każą mi stwierdzić bezdyskusyjnie: Iwona Żytkowiak napisała znakomitą książkę – godną najwyższych nagród literackich.

*Iwona Żytkowiak, „Zamknij oczy”,
wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2019, 415 s.*

ROMA KASZCZYC

**Wpadnij do mnie
wpadnij na chwilę do mnie
u mnie wszystko w porządku
życie mi się ułożyło
lepiej niż na początku
wpadnij więc do mnie na kawę
może na wino czerwone
pokażę ci fotografie
i życie już ułożone
odwiedź mnie kiedyś w niedzielę
na trochę wpadnij, tak sobie
miewam się już znakomicie
nic sobie z życia nie robię**



**wpadnij ot tak, dla zabawy
na czasu wolnego zabicie
nie, może lepiej nie przychodź
lub... zostań na całe życie**

Jak co roku w maju zachęcamy mieszkańców Barlinka do spojrzenia na świat przez niebieskie okulary. A to za sprawą **Święta Polskiej Niezapominajki**. Kilka lat temu zainaugurowała to święto w Barlinku **Roma Kaszczyk**. Od trzech lat, od kiedy nie ma już Romy wśród nas, to również okazja do inicjowania różnych działań, które mają na celu upamiętnienie jej obecności, szczególnie artystycznej, wśród barlinian.

Podobnie stało się w tym roku. 15 maja z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Barlinka nasze miasto zostało udekorowane w błękitne wstążki, do których były przymocowane wiersze Romy oraz jej grafiki z tomu **„Nie naprawiajcie zegara”**. Na odsłoniętej w ubiegłym roku w parku im. Emanuela Laskera ławeczce ustawiono doniczkę z pięknymi niezapominajkami. Zaś 16 maja, w czwartek, około godz. 17.00 na barlineckim rynku miał miejsce happening artystyczny, w trakcie którego symbol naszego miasta – Gęsiarka zyskała także niebieskie akcenty, w tym tradycyjny wianek. Wokół niej zbrali się mieszkańcy Barlinka, by wysłuchać „Gawędy o Niezapominajce” w wykonaniu Teatru Poezji Wiatrak.

Następnie wszyscy przeszliśmy do Barlineckiego Ośrodka Kultury, gdzie tamtejszy skwer również udekorowano wierszami Romany Kaszczyk. Każdy, kto chciał, mógł przeczytać wybrany utwór lub fragment, po czym udano się do kawiarni artystycznej BOK na koncert poezji śpiewanej Ireny Salwowskiej i Zbigniewa Pomiana z Wrocławia. (...)

Koncert spotkał się z bardzo dobrym przyjęciem, przybyli również goście ze Szczecina, zaprzyjaźnieni z artystami. Irenie i Andrzejowi udało się rozśpiewać widzów, a wielu z nich wracało do domów z tym tekstem w uszach lub na ustach:

*Idź tam, gdzie słyszysz śpiew
Tam dobre serca mają
Źli ludzie, uwierz mi,
Ci nigdy nie śpiewają...*

Kolejnym bardzo ważnym punktem programu tegorocznej „Niezapominajki dla Romy” było spotkanie autorskie Iwony Małgorzaty Żytkowiak i premierowa odsłona jej książki „Zamknij oczy”. Odbyło się ono 23 maja, a więc prawie dokładnie w trzecią rocznicę śmierci Romy. Zaś wspomnianą książkę zainspirowały rozmowy autorki z Barlinecką Romą. Jednak jeśli będziecie Państwo szukać w książce barlineckich wątków i epizodów z życia Romy czy omówienia jej twórczości artystycznej, możecie się rozczarować. To książka o tragicznym dzieciństwie, przesiedleniu i o otaczających ją ludziach. Jak mówi sama autorka – to książka prawdziwa i potrzebna, nasycona faktami mieszającymi się z fikcją. Iwona Małgorzata Żytkowiak spędziła z Romaną Kaszczyk w ostatnich miesiącach jej życia wiele godzin, słuchając tych opowiadań. Roma opowiadała o wszystkim, jednak nie każdy element jej niezwykłego życia zawarty jest w książce, ponieważ nie wyraziła na to zgody.

Spotkanie w kawiarni artystycznej BOK rozpoczęło od minuty ciszy. W trakcie spotkania czytane były fragmenty powieści, jak również padło sporo ważnych pytań, a czasami i zaskakujących odpowiedzi. Dla nas jako organizatorów tego kolejnego spotkania z „Niezapominajką dla Romy” bardzo cenne było to, że przyjechał syn Romy Piotr i jej siostra Agata. Serdecznie im za to dziękujemy. Wieczór poprowadził Krzysztof Komorowski. Podczas spotkania była możliwość nabycia książek wraz z autografem Iwony Małgorzaty Żytkowiak. Kolejna odsłona „Niezapominajki” odbędzie się w październiku i połączona zostanie z II Festiwalem Wiedzy o Życiu i Twórczości Romany Kaszczyk, czyli konkursem dla uczniów szkół podstawowych.



„Niezapominajka dla Romy” została zorganizowana przez Towarzystwo Miłośników Barlinka i uzyskała wsparcie finansowe Gminy Barlinek. W tym miejscu chcemy również podziękować dyrektor BOK pani Brygidge Liśkiewicz, pracownikom BOK, pani Halinie Fiałkowskiej i obsłudze Starej Galerii.

Krzysztof Komorowski

Z JOLANTĄ KARASIŃSKĄ AMBASADOREM BARLINKA rozmawia Krzysztof Komorowski red. nac. „Echa Barlinka”

KK. Jest mi bardzo miło pogratulować tego wyróżnienia i spytać, jak Ty, Jolu, to robisz, że na wszystko znajdujesz czas?

JK. Pytanie samo w sobie posiada odpowiedź. Tak po prostu znajduję. Nie jestem dobrą organizatorką swego czasu, ale dlatego, że tak mam go niewiele, nauczyłam się „łapać”, wykorzystywać każdą nadarzącą się wolną chwilę dla siebie. Nie zawsze się udaje, ale uwierz, że warto. To nadaje sens życiu i przynosi efekty. Oczywiście trzeba chcieć.

KK. Ostatnio zostałam członkiem ZLP z rekomendacji prezesa Oddziału w Poznaniu, jak do tego doszło?

JK. Na szczęście tutaj przynależność terytorialna nie obowiązuje. W moich podróżach spotykam sporo poetów z różnych stron Polski. Mam też przyjaciół poetów w Gorzowie Wlkp., których bardzo cenię i chętnie uczestniczę w ich spotkaniach poetyckich. Dlaczego Poznań? Często bywam i biorę udział w różnych imprezach w tym pięknym wyjątkowym mieście. Poznań kusi, posiada swój klimat i stwarza wiele nowych możliwości. W poznańskim Oddziale ZLP są poeci spoza Poznania i, podobnie jak ja, czują się w tym środowisku doskonale. Zostaliśmy przyjęci z wielką sympatią. Legitymację z rąk prezesa Pawła Kuszczyńskiego otrzymałam w Muzeum Literackim im. Henryka Sienkiewicza, co było dla mnie wyjątkowym przeżyciem.

KK. Która z Twoich artystycznych aktywności jest dla Ciebie najważniejsza? Co Cię inspiruje w malarstwie, a co w literaturze?

JK. Nie wyróżniałabym żadnej aktywności. Chociaż przyznaję, że spotkania z czytelnikami, zarówno z dziećmi, jak

i z dorosłymi, to dla mnie „wiatr pod skrzydła”. Lubię i bardzo sobie je cenię, bo to działa w obie strony. Nigdy spotkania czy warsztaty literackie nie są takie same. Przygotowując się do nich, poszerzam wiadomości i cieszę się z każdego nowego pomysłu. A malowanie – to bakcył wystawowy. Oglądam, podziwiam, tworzę i cieszę się efektem. Odskoknia od szarości, codzienności – wewnętrzna niedziela na własne życzenie. Być może kiedyś te dwie pasje zaowocują i wydam książkę z własnymi ilustracjami.

KK. Czy masz swego mistrza poetyckiego?

JK. Nie śmiałabym wymieniać tutaj żadnego. Każdy, którego cenię i lubię, jest dla mnie mistrzem. Nie potrafię i nie chcę ich naśladować, lecz korzystam z pięknego języka, który staram się przekazywać na swój własny sposób. W przypadku wierszy dla dzieci to bezapelacyjnie Jan Brzechwa, którego czytam niezmiennie i wciąż odkrywam na nowo.

KK. Czy łatwiej tworzy się dla dzieci czy dla bardziej dojrzałych odbiorców?

JK. Z pewnością łatwiej dla dorosłych. Zawsze piszę oddzielnie, inaczej się nie da. W przypadku poezji dla dorosłych to raczej sposób opisywania emocji, przeżyć, zarówno tych dobrych, jak i złych. Tu musi się coś zadziać, poruszyć serce, oczyścić myśli. Poezja jest potrzebna i w wielu przypadkach pomaga. Pisząc dla dzieci, bawię się słowem i jednocześnie próbuję im coś przekazać, nauczyć. Dobieram sformułowania odpowiednie do wieku dziecka, bez zbędnego pytania – „co autor miał na myśli”. Pierwszym cenzorem moich wierszyków był wnuczek. Jeżeli po przeczytaniu czegoś nie rozumiał, zmieniałam wyrażenie, zastępując je innym prostym, częściej używanym i rozumianym przez dzieci.

KK. Jaki jest Twój przepis na życiowy optymizm i radość?

JK. Życie nieraz mnie doświadczyło w różny sposób, jak każdego z nas. Nie mam przepisu na optymizm i radość. Wiem jednak, że uśmiech ułatwia życie, niweluje kłopoty i działa cuda, a szklanka wody do połowy pełna – gasi pragnienie, nie pozwoli na jego zatrzymanie. Patrzę realnie na każdy dzień i próbuję stać nogami na ziemi. Wszystkie sprawy staram się

doprowadzać do końca, ale nie zamykam za sobą drzwi. Wierzę w lepsze jutro i nie boję się marzyć.

KK. Jakie masz artystyczne plany na najbliższy czas?

JK. Z pewnością chcę pisać, pisać... Kończę kolejną książeczkę dla dzieci, która dotąd nie ma tytułu, i składam kolejny tomik dla dorosłych. Jeszcze sporo pracy przede mną. Myślę, że sfinalizuję swoje pomysły.

KK. Czego można życzyć osobie tak aktywnej?

JK. Na pewno wytrwałości i więcej czasu, by doprowadzić swoje marzenia do końca.

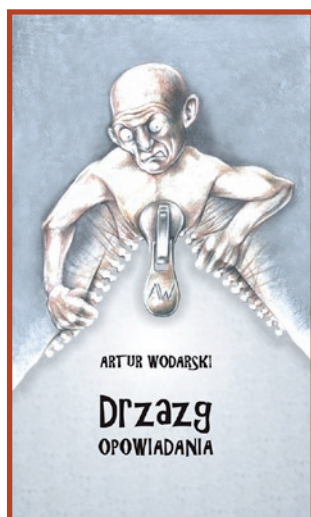
KK. Jak chciałabyś ten zaszczytny tytuł Ambasadora Barlinka urzeczywistnić?

JK. Tytuł Ambasadora Barlinka jest dla mnie bardzo ważny. Nie tylko cieszy, ale i zobowiązuje. Na pewno nie poprzestaną na dotychczasowych osiągnięciach artystycznych. Nadal będę aktywna w swojej działalności i z przyjemnością będę promować moje, nasze miasto. Już w chwili mojego przyjazdu i zamieszkania Barlinek urzekł mnie swoim pięknem. Właśnie tutaj odnalazłam siebie.

Dziękuję za rozmowę **K.K.**



ARTURA WODARSKIEGO
ZBIÓR OPOWIADAŃ
 pt. „DRZAZG”



WKURW

– Nie musisz być taki – mówi płaczącym głosem dziewczyna. Chłopak patrzy wzrokiem, który nie wróży niczego dobrego, i wali ją w twarz. Dziewczyna upada na wersalkę. Spod jej ciała wzbijają się drobinki kurzu.

– Gdzie pieniądze, kurwo! – krzyczy mężczyzna.

Jest bardzo przystojny, ale wściekłość powoduje, że jego twarz przestaje być przyjazna. Dziewczyna jest niewysoka, a strach, który ją wypełnia, powoduje, że staje się jeszcze mniejsza; kurczy się wręcz w sobie i tylko brzuch wypełniający ciało pozostaje tak samo wielki.

– Kocham cię – szepcze przez skrwawione usta.

Chłopak tego nie słyszy. Patrzy na dziewczynę, jakby była kawałkiem śmiecia.

– Tylko kawałkiem, kurwo – warczy i wyciąga nóż.

Przeżrana dziewczyna próbuje uciec, ale kiedy tylko unosi się z wersalki, dosięga ją pierwszy cios. Ostrze gładko wbija się w ciało; przebija skórę brzucha, przechodzi przez owodnię i tonie w ośmiomiesięcznym płodzie. Dziewczyna już nie krzyczy. Spod rąk ułożonych na brzuchu wycieka krew. Chłopak znajduje pieniądze pod poduszką i nie oglądając się za siebie, wychodzi z mieszkania. Przed nim kilkadziesiąt schodów w dół, a później już tylko cały świat. Znowu jest przystojny, bo grymas twarzy, który dla śmiechu oboje nazywali „wkurw”, zniknął z jego oblicza.

ADAMA KORZENIOWSKIEGO
ZBIÓR WIERSZY
 pt. „BARABASZ. SPOTKACIE
 GO NA LAMPEDUZIE”



UŁAN ZNAD JEZIORA
NIESŁYSZ

Mógł zginąć kilkakrotnie w kampanii wrześniowej z szablą w ręku spaść z konia w dumną pierś trafiony jednak przeżył wrzesień uniknął niewoli a potem z I Armią przeszedł szlak bojowy

Opowiedział kiedyś jak raz w Kołobrzegu kiedy biegł wzdłuż muru i przed siebie strzelał nagle z kimś się zderzył na rogu ulicy odwrócił się i ujrzał niemieckiego żołnierza

No i co się stało, pamiętam, spytałem nie mogąc się doczekać finału zdarzenia – byłem szybszy od niego serię w brzuch posłałem i pobiegłem dalej do kolejnych strzelać

Koniec opowieści, ułana już nie ma i lepiej dla niego bo mógłby się zdziwić że nadeszły czasy w których oficjalnie z takich jak on żołnierzy będą drwić i szydzić

Że zarzucą mu zdradę odmówią odwagi bo z Armią Ludową walczył o te ziemie i z sowieckiej pepeszy hitlerowca zabił który jak stwierdzą świadkowie był dzielny żołnierzem



W 2019 r. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim złożyła wniosek na realizację projektu popularyzującego wiedzę o języku w ramach kampanii społeczno-edukacyjnej „Ojczysty – dodaj do ulubionych” realizowanej przez Narodowe Centrum Kultury. Spośród 207 nadesłanych wniosków wyłoniono 27 beneficjentów, którzy otrzymali dofinansowanie na realizację swoich projektów, jednym z nich została gorzowska Książnica. Oto w skrócie ten projekt i jego rezultat:

Zadanie „Každy inny – język wspólny” realizowane w ramach programu „Ojczysty – dodaj do ulubionych 2019” sfinansowane ze środków Narodowego Centrum Kultury – blok dla dorosłych pt. „Emocje w słowa zaklęte”, a w nim:

16.09.2019 r. – spotkanie z dziennikarzem i tłumaczem Filipem Łobodzińskim pt. „Bob Dylan po polsku”, prowadzenie Aleksandra Olszewska i Artur Burszta.

17.09.2019 r. – spotkanie z krakowskim poetą Marcinem Świetlickim pt. „Poza schematami”, prowadzenie redaktor naczelny Wydawnictwa „Wolno” Jarosław Borowiec.

18.09.2019 r. – wydarzenie literacko-muzyczne pt. „I dodam jeszcze, że cię kocham” oparte na listach Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory, które czytali Magda Umer i Piotr Machalica. Spotkanie zakończył minirecital Magdy Umer.

Ponadto:

25.09.2019 r. – promocja książki Romana Habdasa wydanej przez w WiMBP w Gorzowie Wlkp. pt. „Żgajoki i inne opowiadania”.

Spotkanie prowadziła Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk. Fragmenty swej książki czytał autor.

PAŹDZIERNIK 2019

4 października godz. 17.00

Promocja „Pegaza Lubuskiego” nr 3 (78) / 2019

moderator – red. nac. Ireneusz K. Szmidt

9 października godz. 18.00

Spotkanie autorskie Jakuba Żulczyka

moderator – Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

18 października godz. 18.00

Promocja książki Łucji Fice pt. „Druga strona grzechu”

25 października godz. 17.00

Promocja tomiku Marka Lobo Wojciechowskiego

pt. „Dzień kreta”

moderator – Roman Honet (Kraków)

29 października godz. 16.00

II GORZOWSKA HERBERTIADA „Humor u Herberta”

Udział wezmą: prof. Małgorzata Mikołajczak – Uniwersytet Zielonogórski, dr Agnieszka Kramkowska-Dąbrowska – IBL, prof. Katarzyna Taborska – AJP w Gorzowie.

Program artystyczny: Powroty Bardów (Wolsztyn) – spotkanie muzyczno-literackie poświęcone twórczości P. Gintrowskiego. Warstwę słowną w całości wypełni poezja Z. Herberta.

Imprezę zakończy retransmisja reportażu Izabeli Patek o Herbercie „Nie powrócę do źródła spokoju...”.

Marcin Świetlicki

ALE O CO CI CHODZI?

Ale o co ci chodzi? Pytają i wcale nie chcą usłyszeć odpowiedzi. Ale o co ci chodzi? Masz kaca, marudzisz. Jesteś pijany i bredzisz. Ale o co ci chodzi? Robią za szatana, bowiem mają rodziny. I puste lodówki.

Zło odejdzie i będzie wymienione na zło.

I wtedy powiedzą: zawsze byli przeciw temu złu, co odeszło.

Nowe zło jest lepsze.

Ale o co ci chodzi?



MOWA NIENAWIŚCI

Pouczający poniedziałek, wieje, grzmi. Wracam z psem ze spaceru, pies w panice sunie pod ścianą kamienicy, idzie baba i przez komórkę gada, pies w panice sunie, a baba idzie psu naprzeciw, idzie i mówi: „Jeszcze czego, psu nie będę ustępować!”. Zagadka: na jaką partię ta baba głosowała? I dlaczego to jest tak oczywiste, jasne? Czy dlatego, że jestem złośliwym oraz złym człowiekiem? Skąd aż tak dobrze to wiem? Czemu się nie mylę? Och, pouczający poniedziałek.

POLSKA DZIESIEĆ

Albowiem trzeba się bać. Twarz ma przeciętą Wisłą i chłaśniętą Odrą. Twarz ma w odwiecznym grymasie jak u rodzącej kamień. Jak u piszącej esemesa w nieznanym języku.

I trzeba się bać. Teraz miłość jest bezsilna, jest tylko w deklaracjach oraz deklamacjach. Wszelkie poranne złudzenia przemieniają się w gorzki wieczór. Jest później, niż myślicie.

WiMBP w Gorzowie, promocja „Pegaza Lubuskiego” nr 2 (77) 28 czerwca 2019 r.

„Pegaz Lubuski” to czasopismo literackie wydawane przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Z. Herberta i Oddział Związku Literatów Polskich w Gorzowie Wlkp. Na kwartalnych spotkaniach w gorzowskiej Książnicy obecni są zawsze miłośnicy literatury, którzy rozmawiają o gorzowskiej (i nie tylko) twórczości.

Tak się złożyło, że w dniu tym były także imieniny redaktora naczelnego, szefa ZLP **Ireneusza K. Szmidta**, a więc życzenia i bukiet kwiatów oraz tradycyjne „Sto lat”! Był też imieninowy szampan i autorski wiersz „Na swoje imieniny, Don Kichot II” odczytany przez autora.

Po tej uroczystej ceremonii swój filozoficzny felieton wstępny przełożył na język mówiony doktor i pisarz o pseudonimie **Jerzy Alski**. Rok 2019 to rok wyborów do władz ZLP. Na XXXII Zjeździe ZLP delegatami z Gorzowa byli: **Ireneusz K. Szmidt**, **Krystyna Caban**, **Jerzy Gąsiorek** i **Roman Habdas**. Swoje spostrzeżenia z tego zjazdu w Domu Literatury w Warszawie opisał **Romek Habdas**.

Od pewnego czasu dużo miejsca w każdym numerze „Pegaza” poświęcone jest poecie i prozaikowi Zdzisławowi Morawskiemu (1926-1992). Na tym spotkaniu był nawet głos z sali, aby postawić poecie pomnik. Póki co WiMBP i ZLP O/Gorzów zajmują się spuścizną po Z. Morawskim, przekazaną w 2018 roku gorzowskiej Książnicy przez żonę i wnuka poety. **Krystyna Kamińska** cały czas czyta setki kartek maszynopisów. W numerze jest wywiad Grażyny Kostkiewicz-Górskiej z Krystyną Kamińską z ważnymi pytaniami, np. „Czy Zdzisław Morawski zajmował się Gorzowem?” lub „Co jest w archiwum przekazanym Bibliotece”. Usłyszeliśmy, że są to powieści, opowiadania, wiersze, sztuki teatralne, scenariusze filmowe... Za życia autora światło dzienne ujrzały tylko dwie i pół powieści (druk jednej na łamach „Ziemi Gorzowskiej” został przerwany), a w maszynopisie jest jeszcze 10. Poza tym opublikowano 20 opowiadań wyłącznie na łamach prasy (ponad 30 nie doczekało się druku), wystawiono sześć sztuk teatralnych (napisał 14) i pięć słuchowisk wyemitowano w Radiu Zielona Góra (jest 10). Wszystkie utwory dają obraz naszego miasta z lat 60.-80., bo Zdzisław Morawski pisał przede wszystkim o swoim mieście. Teraz miasto powinno zadbać o spuściznę tego poety/pisarza. Swoją wypowiedź Krystyna Kamińska zakończyła refleksją, że miasto powinno ufundować stypendium doktoranckie komuś, kto zająłby się opracowaniem spuścizny po pisarzu.

W maju odbył się 8. Festiwal pn. „FurmanKa” poświęcony twórczości Kazimierza Furmana. W tym roku przebiegał wg pomysłu i w realizacji Agnieszki Kopaczynskiej-Moskaluk, a w „Pegazie” było dużo na ten temat. Teraz powinno się pomyśleć o wydaniu jego wierszy zebranych, publikowanych przez autora w bibliofilskich, niskonakładowych tomikach. Jest to na pewno drugi po Morawskim poeta, który zasługuje na pamięć i udokumentowanie taką książką.

Jak zwykle na tych spotkaniach nie mogło zabraknąć poezji na żywo. Swoje wiersze czytali: **Anna Dominiak**, **Jerzy Hajduka**, **Jolanta Karasińska** i **Ferdynand Głodzik**. Wiersz **Ireny Zielińskiej** przeczytał Ireneusz K. Szmidt.

O najnowszych książkach jak zwykle mówiła **Krystyna Kamińska**. Są to książki: „**Jedzie pan jazz. Edukacja jazzowa i popkulturowa w perspektywie antropologicznej**” autorstwa **Andrzeja Białkowskiego** i **Wojciecha Burszty**, **Hansa Fallady** „**Zmora**”, mówiącej o powojennym Berlinie z gorzowskimi akcentami, oraz „**Po tej stronie Odry**” **Theodora Fontanego**, pisarza, dziennika-



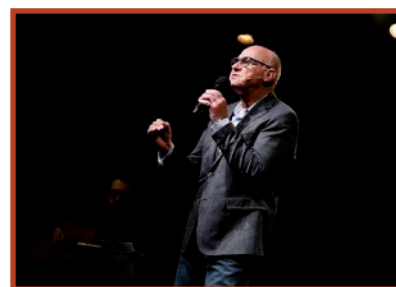
rza i podróżnika. Czytelnik znajdzie też dość obszerną kronikę wydarzeń kulturalnych z pierwszego kwartału tego roku. Była też na ostatnich stronach satyra **Jana Grossa**, **Haliny Stapel**, **Marka Lobo Wojciechowskiego** i **Ferdynanda Głodzika**.

Polecam spotkania z „Pegazem na żywo” w gorzowskiej Książnicy i zagłębienie na strony internetowe WiMBP oraz gorzowskiego Oddziału ZLP: zlp-gorzow.cba.pl.

Scena Letnia Teatru Osterwy, XVII Gorzowski Festiwal Teatrów Ogródkowych od 28 czerwca do 28 lipca 2019

Jak zwykle w lipcu na gorzowskiej scenie pod namiotem goszczą zaprzyjaźnione teatry ze spektaklami, koncertami i recitalami. W każdy piątek odbywały się spektakle dla dzieci, a soboty i niedziele należały do dorosłych. Tym razem większość propozycji to koncerty różnych piosenek. Dwukrotnie usłyszeliśmy piosenki z Kabaretu Starszych Panów, była „Osiecka po męsku”,

piosenki z repertuaru Andrzeja Zauchy. Kacper Kuszewski wykonał „Album rodzinny”: zaśpiewał kilka piosenek napisanych specjalnie dla niego i zilustrował je opowieściami o swojej rodzinie. Były trzy małoobsadowe spektakle teatralne, w tym słynna „Ławeczka”. Najbardziej obleganym spektaklem była operetka „Księżniczka Czardasza” w wykonaniu Grupy Artystycznej z Poznania. Przetę końcówkę czerwca i cały lipiec przeżywaliśmy w zaciszu teatru letniego bajki, spektakle, muzyczne recitale. Na zakończenie wakacyjnych spotkań Teatr im. Osterwy przygotował bajkę dla dzieci.



Nocny Szlak Kulturalny pod hasłem: „Ostatni taki szlak” – 29 czerwca 2019

Niestety, nie ma już tej iskry, jaka towarzyszyła tej imprezie na początku. Coś się chyba zużyło albo przedawniło. Były jak zwykle



happeningi, wystawy, koncerty. Czasem (jak na nocny szlak) za szybko coś się kończyło albo nie odbiegało niczym od standardowej imprezy zaplanowanej na ten dzień. A to powinno być coś niespotykanego, zaskakującego, innego... Organizatorzy zapowiadają zmianę formuły.

Lipiec i sierpień w MCK

1. Od 1 do 19 lipca odbyła się XI edycja wakacyjnych warsztatów artystycznych dla dzieci i młodzieży „**Jazda coolturałna**”. Były to spotkania tematyczne: „**Kwadratowy zawrót głowy**”, „**Słoneczne wariacje na wakacje**” i „**Raz, dwa, trzy. Zawarcie to my**”.



2. **Scena na scenie** to koncerty odbywające się na scenie w amfiteatrze. 20 lipca wystąpił **Arkadiusz Jakubik** w programie „**Szatan na Kabatach**”. 11 sierpnia odbył się koncert „**niXes**”. To nowatorski pomysł **Ani Rusowicz**, a 31 sierpnia koncert **Natalii Przybyysz**.

Pikniki Chopinowskie

Odbywały się od 14 lipca do 1 września we wszystkie niedziele na Placu Sztuk przy Filharmonii Gorzowskiej.

W tym roku organizatorzy postawili na młodych i bardzo młodych pianistów. Najmłodszy uczestnik miał niepełne 16 lat, a pozostali około 20 lub tylko nieco więcej. Dwukrotnie też (w tym roku po raz pierwszy) zaproszeni soliści zagrali z kameralnym składem filharmoników gorzowskich pod dyr. **Jacka Kraszewskiego**.



Pierwszy taki koncert odbył się 28 lipca, wtedy młody artysta **Piotr Pawlak** z Gdańska (rocznik 1998), wspólnie z muzykami, zagrał koncert fortepianowy f-moll op. 21 F. Chopina. Drugi taki koncert miał miejsce 25 sierpnia, a solistką była młoda (rocznik

1999) artystka z Krakowa **Martyna Kubik**, która wykonała koncert fortepianowy e-moll op. 11 F. Chopina. Wszystkie koncerty cieszyły się dużą popularnością.

„Muzyka w Raju”, sierpień 2019

Cztery koncerty z tego cyklu, który realizowany jest po raz 17. w Paradyżu, odbyły się w Gorzowskiej Filharmonii. 14 sierpnia gościł wspaniały dziesięcioosobowy zespół „**Core**”, z udziałem sopranistki **Perrine Devillers**, skrzypaczki **Airy Marii Lehtipuu**, flecistki **Anny Besson** i klawesynistki, liderki zespołu **Joanny Boślak-Górniok**, który wystąpił z koncertem zatytułowanym „Jeszcze nie opera, ale już prawie...”. O godz. 20.30 w sali kameralnej w recitalu na harfie barokowej, w programie „**Śladami Jeana le Flešie**”, zaprezentowała się zjawiskowa francuska harfistka **Angélique Mauillon**.

W dniu następnym, 15 sierpnia, w sali koncertowej kolejny raz wystąpił zespół „**Core**”, zmieniając nieco solistów. Koncert nosił tytuł „Cztery pory roku i inne opowieści o naturze”. Na skrzypcach zagrały: **Aira Maria Lehtipuu**, **Jesenska Balic-Zunic** i flecistka **Anna Besson**. O godz. 20.30 w sali kameralnej na klawesynie z recitalem pt. „**Tysiąc diabłów za klawiaturą**” wystąpił włoski artysta **Andrea Buccarella**. Było to wspaniałe wydarzenie!

Koncerty w Paradyżu trwały do 24 sierpnia. I ja tam byłam...

Sierpień w WiMBP

W piątki od 2 do 23 sierpnia odbywały się spotkania czytelnicze promujące literaturę piękną pn. „**Czytamy Wam – Piknik**”.

2 sierpnia **Marzena Wieczorek** i **Paweł Caban** czytali fragmenty „Śniadania u Tiffaniego” Trumana Capote’a. W następny piątek „Cierpienia młodego Wertera” Johana W. Goethego czytali **członkowie Stowarzyszenia Art-Drama**. W kolejny piątek „Przygody dobrego wojaka Szwejka” Jarosława Haszka czytała **Anna Łaniewska**. 23 sierpnia fragmenty „Indyka” Sławomira Mrożka czytał (youtuber) **Mateusz Ciawłowski**, a brawurowo towarzyszył mu sam dyr. **Sławomir Szenwald**. Ostatnie wakacyjne spotkanie literackie przygotowali poloniści z Towarzystwa Literackiego im. Adama

Mickiewicza – **Małgorzata Jach**, **Urszula Jagiełło**, **Renata Janicka-Szyszko**, **Ewa Szmit** i **Tomasz Pluta**. Tematem spotkania była „Psychoanaliza Adama Mickiewicza”.

MCK Pożegnanie lata – Party 24-25 sierpnia 2019

Propozycje obejmowały m.in. wystawę samochodów klasycznych, animacje dla dzieci i dla dorosłych, pokazy samochodów terenowych i militarnych, piknik pszczelarski oraz koncerty, które odbyły się na błoniach z udziałem zespołów: m.in. zespołu Organek i Kwiat Jabłoni. W koncertach udział wzięli także Jacek Kawalec i Krzysztof Skiba.

37. rocznica Wydarzeń Gorzowskich 30-31 sierpnia 2019

Przed 37 laty, 31 sierpnia 1982 r., na Starym Rynku przy Białym Krzyżu Solidarności spotkało się prawie 5 tys. gorzowian, aby zaprotestować przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Wtedy ówczesna milicja i ZOMO rozpendzili tłum pałkami i armatkami wodnymi. Byli ranni. W bieżącym roku, w rocznicę tych wydarzeń, w tym samym miejscu odbyła się uroczysta msza święta celebrowana przez **ks. bp. Tadeusza Lityńskiego**. Po mszy odbył się uroczysty ceremoniał wojskowy i złożono kwiaty przy Białym Krzyżu. A nad miastem kilkakrotnie przeleciały cztery wojskowe samoloty. Odbyła się także rekonstrukcja historyczna, usłyszeliśmy koncert pieśni patriotycznych, a skwerowi przed empikiem nadano nazwę „**Skwer 31 Sierpnia 1982 r.**”. Na zakończenie obchodów w amfiteatrze wystąpił **zespół Perfekt**.

Miejski Ośrodek Sztuki 9 września 2019

W tym dniu odbył się wernisaż wystawy „**Magazyn zbiorów – część kolekcji Centrum rzeźby Polskiej w Oruńsku**”. Kuratorem wystawy jest **Leszek Golec** przy współpracy **Henryka Gaca** i **Zbigniewa Sejwy**. W Gorzowie pokazana została niewielka część oruńskiej kolekcji obejmującej około tysiąc osiemset rzeźb, obiektów, instalacji i innych dzieł. Prezentacji towarzyszył film o wystawie i kolekcji, zrealizowany w Rydze przez Różę Fabijanowską i Sławomira Malcharka.

Na wystawie pokazano prace: Magdaleny Abakanowicz, Pawła Althamera, Kuby Bąkowskiego, Michaliny Bigaj, Miłosza Flisa, Diany Grabowskiej, Jerzego Januszkiewicza, Kijewskiego/Kocura, Kamila Kuskowskiego, Katarzyny Kobro, Bartosza Kokosińskiego, Piotra Kurka, Macieja Kuraka&Maxa Skorwidera, KwieKulika, Natalii Lach-Lachowicz, Artura Malewskiego, Państwa Neuhamer, Adama Prockiego, Zofii Pugetowej, Marty Pszoniak, Łukasza Skąpskiego, Wandy Sokołowskiej, Marty Szwinty, Magdaleny Więcek-Wnuk. Wystawa czynna będzie do 20 października br.

Kolejny sukces Marzeny Wieczorek

Gorzowska aktorka znalazła się w prestiżowym rankingu krytyka teatralnego **Jacka Sieradzkiego**. Ten ceniony dziennikarz uznał jej mistrzostwo w odtwarzanej postaci, którą grała w spektaklu „**Sami**”. Oto fragment jego komentarza: „Spektakl w Gorzowie Wlkp. jest jak koncert orkiestry, w której jedna instrumentalistka ma prawo do improwizacji. Zmienia ton dialogów, zrywa sytuacyjne ułożenia, wybucha gniewem, śmiechem, rozpaczą... Każde partnerom i widzom iść za wewnętrzną logiką nie-logiką jej reakcji... Nie mam pojęcia czy to improwizacja, czy wszystko z góry do



dołu ułożone. Nieważne. Ważne że rozpęda się teatr, w którym nie jest ani przewidywalne, ani banalne, ani zdystansowane, teatr żywiół. Żywiół charyzmy”.

Premiera spektaklu „Sami” odbyła się w dniu 31 marca br. z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru, w reżyserii autorów sztuki – **Katarzyny Dworek i Pawła Wolaka**.

Sukces gorzowskich filharmoników

Zespół **pn. FolkfonR**, grający muzykę tradycyjną i folkową, który tworzą muzycy gorzowskiej filharmonii w składzie: **Paulina Wąsik, Natalia Chmurczyk, Mateusz Rzytko i Grzegorz Tobis**, zdobył trzecią nagrodę na **Turnieju Muzyków Prawdziwych**. Turniej organizowany jest przez Filharmonię Szczecińską, a wzięło w nim udział 40 zespołów z całej Polski. Gorzowski zespół istnieje od 2016 r.



Renata Ochwat w „Echo Gorzowa”: *Muzycy prawdziwi w tym wypadku grają muzykę opartą o ludowe rytmy z całego świata, a jak grają, to mogli się w ubiegłym roku przekonać ci, co bywają w FG na Muzycznym Raczkowaniu, czyli na zajęciach dla najmłodszych – raczkujących melomanach.*

Ja zwyczajnie kocham ludowiznę i to ludowiznę wszelaką, dlatego mnie ta muzyka zachwyca. A jak jeszcze aranże na podstawowe cztery instrumenty robi pan Grzegorz Tobis, to zachwyty jeszcze rośnie.

Chciałoby się mieć płytke, ale wiem od muzyków, że do tego długa droga, bo nagranie to kosztowna rzecz. Dlatego gratuluję muzykom III nagrody i najbardziej na świecie życzę im nagrania płyty. A jak już będzie, to na pewno zawojuje świat!

Filharmonia Gorzowska

7-8 września 2019

Filharmonia Gorzowska po raz szósty zaprosiła dzieci i młodzież w wieku od 10 do 18 lat na casting do musicalu „**Przygoda w Krainie Oz**”. Libretto na podstawie znanej baśni „**Czarnoksiężnik w Krainie Oz**” Lymana Franka Bauma napisała **Małgorzata Szwałik**. To kolejna inicjatywa edukacyjno-artystyczna, której przyświeca idea budzenia i rozwijania talentów. Próby sceniczne rozpoczną się we wrześniu i potrwać do końca listopada. Potem próby z orkiestrą gorzowskiej filharmonii. Następne już z reżyserem oraz z zaproszonymi profesjonalnymi artystami. Pierwsze spektakle dla publiczności zostaną zaprezentowane w dniach 6 i 7 grudnia.

Gorzowskie Towarzystwo Fotograficzne skończyło 65 lat. 14 czerwca 2019 r. w galerii Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej miał miejsce wernisaż okolicznościowy

Można by żartem powiedzieć, że rzeczony Towarzystwo osiągnęło wiek emerytalny, ale żarty na bok, bo w pejzażu Gorzowa i w polskiej fotografii zajmuje ono całkiem poważne miejsce. Od

momentu powstania (1954 r.) GTF organizuje wystawy zdjęć nagrodzonych na Ogólnopolskich Konfrontacjach Fotograficznych. Ilość zdjęć pokonkursowych w zbiorach sięga 2000. Część pierwsza zbioru zdjęć, do 2009 roku, eksponowana była 10 lat temu. Obecna wystawa obejmuje prace od 2009 do 2019 roku. GTF nadal jest aktywnym organizatorem warsztatów, plenerów i spotkań fotografików poświęconych fotografii artystycznej w kraju i na świecie. Działania GTF dały początek szkolnictwu fotograficznemu w Polsce.



Na zdjęciu: **Stefan Piosik, Elżbieta Kućko i Marian Łazarski** – prezes GTF. Kilka innych zdjęć z tej wystawy na stronach: s. 1 (xxx) – fot. **Patryk Koryzna**, s. 3 („Ibanez”) – fot. **Krzysztof Szymtkiewicz**, s. 4 („Mól książkowy”) – fot. **Bogdan Bloch**

„Ojczysty – dodaj do ulubionych” cykl imprez literackich w WiMBP 16-18 września 2019

Spotkania odbywały się w ramach programu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Narodowego Centrum Kultury. W gronie jego beneficjentów znalazła się WiMBP im. Zb. Herberta w Gorzowie. Cykl ten mógł być zrealizowany dzięki **Annie Królewicz-Spętany** – autorce projektu oraz **Ewie Frąckowiak** i **Danucie Zielińskiej** – organizatorkom spotkań.

Spotkanie z Filipem Łobodzińskim – Bob Dylan po polsku 16 września 2019

Moderatorzy: **Aleksandra Olszewska i Artur Burszta** z Biura Literackiego. Była to jednocześnie inauguracja XXV sezonu działalności Biura.

Filip Łobodziński – dziennikarz, tłumacz z hiszpańskiego, katalońskiego, francuskiego i angielskiego, muzyk i aktor. Za przekład książki pt. „Tarantula” **Boba Dylana** został nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia 2019. Książka ta została uznana za jedną z pięciu najlepiej przełożonych książek, w kategorii przekład na język polski. Na spotkaniu w Gorzowie opowiadał o problemach związanych z tłumaczeniem piosenek. Podkreślał, że tekst i muzyka zawsze muszą iść w parze. A ideą naczelną i zadaniem dla tłumacza



jest to, aby przetłumaczony tekst dał się dobrze zaśpiewać po polsku i aby było to maksymalnie spójne z oryginałem. Podał kilka szczegółów z pracy nad tekstem przy kilku piosenkach, m.in. „Mississippi” czy „Senior”, i przeczytał swoje tłumaczenia. Przeczytał też inne teksty i fragment „Tarantuli”.

Spotkanie z Marcinem Świetlickim 17 września 2019



Poeta, powieściopisarz, dziennikarz, wokalista krakowskiego zespołu muzycznego „Świetliki”, debiutował w 1992 roku tomikiem poezji „Zimne kraje”. Do tej pory wydał 23 książki poetyckie, (w tym 13 tomików poezji) i 9 książek prozatorskich. Ostatni tomik nosi tytuł „Ale o co ci chodzi?”, wydany

został przez Wydawnictwo Wolno. Zawiera 44 wiersze z rysunkami Marcina Maciejewskiego. Na pytanie, dlaczego taki tytuł, odpowiedział, że często zadajemy jakieś pytanie komuś i uzyskujemy taką właśnie odpowiedź. Kiedyś był buntownikiem, obecnie skupia się na pielęgnowaniu języka. Píše o tym co codzienne i bliskie. I o ludziach, którzy łatwo wchodzą w życie nieprawdziwe. Zawsze sam konstruuje swoje książki. Tym razem było to łączenie wierszy z rysunkami...

Wszystko, co w życiu zrobił (powieści, płyty, audycje radiowe), wzięło się z tego, że... pisze wiersze. A pisze, bo chciałby rozmawiać, choć rozmowa z drugim człowiekiem sprawia mu problemy...

Spotkanie było jak zaczarowane, z nieprawdopodobnie poetycką atmosferą. A było to ogromną zasługą bardzo profesjonalnego moderatora **Jarosława Borowca** (historyka literatury, redaktora, edytora, dr nauk humanistycznych, red. nac. Wydawnictwa Wolno).

Wybrane wiersze Marcina Świetlickiego, za zgodą autora, na s. 23.

Listy Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory w programie pt. „I dodam jeszcze, że cię kocham” 18 września

W książce „**Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory listy na wyczerpanym papierze**” znajdują się listy z lat 1964-1966 Jeremiego do Agnieszki i Agnieszki do Jeremiego, dwojga wielkich poetów piosenki. On w owym czasie już znany arcy mistrz słowa, poeta, satyryk, aktor, współtwórca Kabaretu Starszych Panów, ona – młoda, liryczna, trochę szalona, już pisała niezapomniane teksty. Najpierw zafascynowali się swoją twórczością, a potem sobą wzajemnie.



Z tej wzajemnej fascynacji, miłości i tęsknoty powstały listy, napisane lekko i z humorem. A z wielkiej miłości, a potem z rozstania rodziły się piosenki, które cały czas istnieją w pamięci milionów ludzi. Listy czytali Magda

Umer i Piotr Machalica. Spotkanie zakończyło się koncertem piosenek w wykonaniu **Magdy Umer** przy wsparciu **Piotra Machalicy**. Na fortepianie akompaniował **Wojciech Borkowski**.

Promocja książki Romana Habdasa pt. „Żgajoki i inne opowiadania” 25 września, WiMBP

Książkę wydała gorzowska Książnica. Żgajoki, inaczej – cierniki, to maleńkie kolczaste słodkowodne rybki. Ale także dzieciarnia dopiero co próbująca wędkowania.

Wędkowanie to nie tylko polowanie na ryby czy połów sportowy. W wypadku naszego pisarza to także pasja. Ze spotkań nad wodą, wśród przyrody, rozmów, różnych relacji międzyludzkich i przyjaźni powstała ta książka. Podczas spotkania autor czytał fragmenty opowiadań. Były także opowieści córek i przyjaciół-wędkarzy, z którymi wspólnie spędza czas, łowiąc ryby. Obejrzelśmy też dwa filmiki. Pierwszy



pt. „Zamyślenie” i drugi „Z nurtem jesieni”, autorstwa Romka. Na koniec autor podziękował wszystkim, którzy przyczynili się do wydania tej książki. Spotkanie prowadziła **Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk**.

Filharmonia Gorzowska – Inauguracja Sezonu Artystycznego 2019/20 27 września

Na inaugurację przygotowano koncert muzyki symfonicznej z Hiszpanii i Francji w wykonaniu gorzowskich filharmoników pod batutą **Jacka Kraszewskiego**, z udziałem wybitnego gitarzysty **Jakuba Kościuszki**. W programie dzieła Gabriela Fauré, Alberta Rousella i Joaquina Rodriga.

Ewa Rutkowska

„Moje literackie fascynacje”

WiMBP im. Zbigniewa Herberta ogłosiła VII edycję konkursu na recenzję książki. Tytuł „Moje literackie fascynacje” nie ogranicza ani tematyki, ani autorstwa recenzowanych książek. Konkurs jest adresowany do członków Dyskusyjnych Klubów Książki z Gorzowa i północnej części woj. lubuskiego. Będzie rozgrywany w trzech kategoriach: dla dzieci do lat 14, dla młodzieży w wieku 14-20 lat i dla dorosłych od 20 roku życia. Każdy uczestnik konkursu może nadesłać jedną lub dwie recenzje. Prace konkursowe opatrzone imieniem i nazwiskiem autora, numerem telefonu, nazwą Dyskusyjnego Klubu Książki oraz informacją o kategorii wiekowej należy dostarczyć do 17 listopada 2019 r. osobiście (Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, ul. Sikorskiego 107, Gorzów Wielkopolski / Dział Udostępniania Zbiorów, pokój 206; tel. 95 727 80 56) lub drogą elektroniczną na adres: e.niewiadomska@wimbp.gorzow.pl.

Regulamin na stronie www.wimbp.gorzow.pl w zakładce DKK.

CZTERECH LAUREATÓW z ZLP w ZIELONEJ GÓRZE

Tego jeszcze nie było! Aż czterech członków zielonogórskiego Oddziału ZLP zostało w tym roku laureatami Nagrody Kulturalnej Miasta Zielona Góra przyznanej przez prezydenta.

We wtorek, 10 września, w pałacu w Starym Kisielinie (czyli dzielnicowym domu kultury) odbyła się uroczysta sesja Rady Miejskiej Zielonej Góry, podczas której wręczono laury. Uhonorowani zostali trzej poeci i prozaik: Władysław Klepka, Robert Rudiak, Alfred Siatecki oraz Eugeniusz Kurzawa. Nagrodę (a właściwie dyplom, bo nagroda już wcześniej wpłynęła na konto) wręczył wraz z różą prezydent miasta Janusz Kubicki. Każdy z twórców został w dość oryginalny, poetycki sposób zaprezentowany. Poza pisarzami wyróżniono również znakomitych plastyków, muzyków, słowem twórców zasłużonych dla miasta. Spotkanie zakończył krótki koncert, po którym zaproszono na poczęstunek i zwiedzanie odnowionego pałacu.

Korzystając z jedynej i niepowtarzalnej okazji, że na sali był prezydent, jak i wszyscy radni, Eugeniusz Kurzawa wygłosił emocjonalny apel do władz w sprawie powołania w mieście placówki archiwalno-badawczo-muzealnej poświęconej literaturze. Powiedział m.in., że jako Polacy jesteśmy obecni w Zielonej Górze zaledwie 74 powojenne lata. I nasze, polskie, ślady są tutaj niezbyt jeszcze wyraźnie zaznaczone. Dlatego warto dbać o te nieliczne, które zostawili twórcy, w tym wypadku pisarze, tacy jak Michał Kaziów, Janusz Koniusz, Anna Tokarska, Andrzej K. Waśkiewicz, Mieczysław Warszawski i inni, którzy już odeszli. E. Kurzawa nawoływał do zadbania o niepowtarzalne pamiątki pozostałe po ociemniałym i okaleczonym pisarzu M. Kaziowie, o archiwum J. Koniusza, A. Waśkiewicza i pozostałych kolegów. Opowiedział, jak to w mieszkaniu J. Koniusza w okresie powojennym czekali na pociąg do Warszawy – po spotkaniach autorskich w Zielonej Górze – Mieczysław Wańkowicz, Julian Przyboś i inni wybitni pisarze polscy. Nie dziw zatem, iż mieszkanie przy al. Niepodległości 35 nosi do dziś aurę tamtych twórców. Dlatego właśnie w nim warto by urządzić wspomnianą placówkę, zdeponować dorobek literacki pisarzy z miasta i regionu, badać i pielęgnować. E. Kurzawa wspominał, że córka J. Koniusza – Donata Koniusz, skłonna byłaby oddać to mieszkanie na ów zbożny cel. Czy jest szansa, że zostanie on zrealizowany? Sprawą zainteresowali się niektórzy radni. Oby się udało. Zielona Góra i jej literatura na pewno na to zasługują.

Henryk Gierałtowski



Prezes Oddziału ZLP
Robert Rudiak
z honorowym dyplomem

Nazywam się **Halina Jerulank**, mieszkam w Zielonej Górze. Wydałam zbiory wierszy „Przed Tobą” (2018) i „Dotykam Cię tylko myślami” (2019). Publikowałam swoje utwory w „Pro Libris”, „Oksymoronie” i sukcesywnie w „Gazecie Lubuskiej”. Przesyłam kilka swoich wierszy. Gorąco pozdrawiam z cichą nadzieją, że moje wiersze będą mogli przeczytać czytelnicy „Pegaza Lubuskiego”.

Halina Jerulank

W NOCY ŚWIECIŁO SŁOŃCE

W nocy świeciło słońce
i było tak pięknie
Jego ciepłe promienie
ogrzewały drogę
po której szłam do ciebie

Oczy pełne blasku
Uniesione ramiona
rozwichrzone wiatrem
moje włosy oplatały twój twarz
Zadzwoił budzik
i zesłam na ziemię

JAKOŚ MI DZISIAJ

Jakoś mi dzisiaj smutno i obco
Co się dzieje
nie wiem
Za chwilę będę witać się z nocą
a w łóżku
czekać na brzask

Wiem że nie zasną
gdy jasno
świecą gwiazdy na niebie
Jutro się wszystko odmieni
bo znów spotkam ciebie

* * *

Jest jeszcze miejsce
na miękkim krześle
Chociaż niewielkie
ale wygodne
Możesz przycupnąć
W ciepłe posiedzieć
Odnaleźć myśli pogubione
Zagłuszyć cierpienie
Poszukać oparcia
bo wiesz że jest

LUSTRO

Lustro sobą zasłonię
żebyś nie szukał w nim drogi odejścia
zmarszczek nie znajdował
bo ich nie ma
a to co rzeźbi twarz
te linie wyryte
oznaką są mądrości
i przebytej drogi
co nie wiodła na skróty

Rękę do ciebie wyciągam
byś chwycił ją mocno
i miał świadomość
że cię nie puszczę na drugą stronę

MAREK WAWRZKIEWICZ

BIAŁA ŁASKA

Stuk. Delikatny, miarowy, konieczny.
 Obcy ludzie, inny gwar, nieznane zapachy,
 Obce są nawet płyty chodnikowe.
 Przez to wszystko trzeba przejść,
 Żeby dotrzeć do niewidocznego celu.
 Już nie dziewczyna, już prawie kobieta.
 Ile lat w jej kraju trzeba mieć,
 By przestać być dziewczyną?
 Zapewne kruczowłosa, ale to domysł,
 Bo zasłoniła głowę gęstą chustą.
 Być może urodziwa, ale zakryła oczy
 I pół twarzy mrocznymi okularami.
 Idzie pewnie rozgarniając białą łaską
 Upalne powietrze Krakowskiego
 Przedmieścia.
 I znika. Jakby ją pochłonęło
 Czarne, niewidome słońce.

Czerwiec 2019

PODRÓŻ

Na bułanych koniach jechaliśmy stępą płytkim potokiem
 W stronę zachodzącego słońca. Zdawało się, że płatki
 Czerwone z wieczorniejącego nieba spadają nam
 Na głowy i ramiona, a potem bez plusku toną
 W ledwie szmerzącej wodzie.
 Konie niekiedy parskały jakby chciały rozproszyć nasze
 Bezwolne zamyślenie i czuły bliskość celu.

Cel znała też rzeka,

Wiedziała skąd pochodzi i dokąd zmierza.
 Było nas troje – ty, ja i ten nieznajomy
 W długim, srebrzystym połyskującym płaszczu.
 Domyślałem się kim jest i nie śmiałem
 O nic pytać. Może widziałem go przed laty
 W „Siódmej pieczęci” Bergmana. Prowadził wtedy
 na wzgórze
 Korowód niewinnych a skazanych. Konie pochylały łby,
 Żłote krople wody spadały im z pysków.
 Wiedziałem: za kępą modrzewi,

z których osypywały się igły

Będzie zatoczka i łacha ziarnistego piasku.
 Wiedziałem – tam zostanę. A ty pojedziesz za nim
 Aż do wschodzącego słońca, a potem jeszcze dalej.
 A ja zostanę. Obok szkieletu bułanego konia,
 Nad wysychającym, niemym strumieniem.
 I będę czekał.
 A on powróci.

Marzec 2019

LIST OTWARTY PREZESA
 ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU
 LITERATÓW POLSKICHdo Prezesów Oddziałów Związku
 Literatów Polskich

Szanowna Koleżanko, Szanowny Kolego!
 Przyszły rok jest rokiem jubileuszu 100-lecia naszej
 organizacji. Zaproponowałem kierownictwu Sto-
 warzyszenia Pisarzy Polskich wspólne obchody tej
 rocznicy, ale moja propozycja nie została przyjęta.
 Pozostaniemy więc w życzliwej neutralności...

*Pragniemy, aby ten jubileusz świętowany był
 nie tylko w Warszawie, Poznaniu i Krakowie
 (te ośrodki oraz Lwów 100 lat temu utworzy-
 ły Związek Zawodowy Literatów Polskich), ale
 w całym kraju. Proszę Was o nadesłanie do 10
 października propozycji imprez jubileuszowych
 na Waszym terenie – umieścimy je w kalendarzu*

*roku jubileuszowego. Planujemy imprezy w rozciągniętym czasie
 – od kwietnia do listopada 2020. Ta rocznica, jak sądzę, może się
 stać okazją do pozyskania od miejscowych władz dotacji na impre-
 zy: stuletniemu staruszkowi nie odmawia się...*

*Na posiedzeniu Prezydium 10.10 proponuję cykl wydarzeń fir-
 mowanych przez Zarząd Główny. Myślę, że powinny się w nim
 znaleźć:*

- dwudniowa sesja poświęcona historii Związku oraz jego współ-
 czesnemu położeniu i sytuacji pisarza dziś;
- uroczysty koncert poetycko-muzyczny;
- wydanie książki obrazującej rozwój Związku i krótkiej historii
 jego oddziałów;
- wydanie książki wspomnieniowej złożonej z tekstów najstarszych
 członków Związku i sylwetek jego prezesów i wybitnych działaczy
 od 1945 r. Ufam, że Wasze propozycje wydatnie wzbogacą program
 roku jubileuszowego.

Marek Wawrzkiwicz

Marku!

*Jeden z najmłodszych, gorzowski Oddział ZLP z tej okazji postano-
 wił wydać nową edycję Almanachu Gorzowskich Poetów i Pisarzy
 obejmujący twórców i ich dzieła od 1945 do 2019 r. Ukaże on się
 drukiem na przełomie roku bieżącego z jubileuszowym.*

Ireneusz K. Szmidt

100-lecie ORGANIZACJI POLSKICH PISARZY

14 maja 2020 r. mija 100 lat od założenia Związku Zawodo-
 wego Literatów Polskich z inicjatywy Stefana Żeromskiego podczas
 Zjazdu Literatów Polskich w Warszawie. Z tej okazji Krakowski
 Oddział ZLP wraz z Ośrodkiem Badań nad Mediami Uniwersy-
 tetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie oraz Wydawnictwem
 Edukacyjnym w Krakowie organizują konferencję naukową „100
 lat Związku Literatów Polskich”.

Celem konferencji jest przypomnienie roli, jaką odegrał ZZLP
 (później ZLP) w trzech różnych okresach: w latach międzywojen-
 nych, w PRL oraz po 1989 r. Wśród tematów wystąpień plano-
 wane są np.: *Stefan Żeromski jako pierwszy prezes ZZLP, ZLP
 w Krakowie we wspomnieniach i literaturze, IV Zjazd Litera-
 tów Polskich w Szczecinie w 1949 r. i socrealizm, Prezesura Ja-
 rosława Iwaszkiewicza* itp.

Zgłoszenia do udziału w konferencji należy składać: pocztą elek-
 troniczną (magdalena.stoch@up.krakow.pl) do końca marca 2020 r.

Konferencja odbędzie się 22 maja 2020 r. na Uniwersytecie Pe-
 dagogicznym im. KEN w Krakowie, ul. Podchorążych 2. Przewi-
 duje się od 8 do 10 wystąpień.

Do czynnego udziału w tym przedsięwzięciu organizatorzy za-
 praszają pracowników naukowych, pisarzy i poetów (bez względu
 na przynależność związkową) i wszystkich miłośników literatury.

Witam serdecznie, zapoznałam się z działalnością i publikacjami Waszego Czasopisma. Gratuluję! Zależałoby mi na współpracy w zakresie publikacji wierszy i recenzji. Jestem autorką trzech tomików poetyckich. Dwa tomiki wydałam pod nazwiskiem Katarzyna Nazaruk, ale od maja 2019 r. publikuję i funkcjonuję pod pseudonimem Katarina Lavmel i trzeci tomik, wydany w wydawnictwie Font w czerwcu 2019 r., jest już jako Katarina Lavmel. Obecnie mieszkam w Portugalii, ale często bywam i będę bywać w Polsce, m.in. w listopadzie dzięki zaproszeniu przez Beatę P. Klary będę promować mój nowy tomik „Anturaz” w Gorzowie Wielkopolskim – dokładnie 19 listopada odbędzie spotkanie w Klubie „1”, ul. Chrobrego 9, z cyklu FarmaLITER. Chętnie zaprezentuję wiersze z motywami portugalskimi i nie tylko i podzielę się impresjami.

Na klifach Algarve

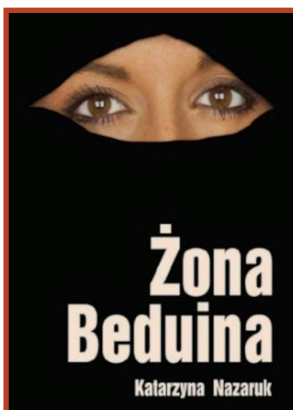
oddychamy – głęboko
dzikość wiatru jest skrzydłami
a marzenia przestają być tylko falą
pozwalam unieść się oceanowi i tobie
bez mapy bez kompasu i kompromisu boi
nie liczymy już na niebie lampionów –
nawet dla zagubionych rybitw noc nie jest obca
płyniemy z triumfem rozwiniętego żagla
pchani w poranną mgłę
za skałami myśli kręcą wiry
za dużo dwutlenku węgla –
ekolodzy nas pochwyć (bez litości)
za ten ogień co jak pożar
bez umiaru iskrzy w naszych sercach

Ocho

dlaczego tango nie ma granic –
początku i końca
a może to układ zero-jedynkowy?
(jest jak grizzly i baletnica)
znasz zaledwie kilka kroków
jednak obraca tobą bez skrupułów –
wirujesz
przygnięciona obcasem zamierasz jak nuta
bez oddechu
poddajesz się z pluszową łagodnością
niech prowadzi uwodzi los
tańcem zaznaczymy chwilę
ten błysk źrenic
oddech jak lot kolibra
ufam...
najważniejsze to być w twoich objęciach

Nie przewidziałem cię

dzisiaj naocznie poznałem
przebrnąłem przez pliki zdjęcia maile
błądziłem w szuwarach esemesów
zajrzałem w oczy jak rybie w skrzela
i pomyślałem: zdrowa



różowe usta jak skrzek w jamie
obiecowały dużo –
ciało na równoważni z intelektem
kiedyś na rynku weneckim
ojcowie wystawiali na sprzedaż swoje córki –
kupczyli... w imię ich szczęścia
teraz chętne sprzedają się same na licytacji
wystarczy kilka kliknięć zręczność Photoshopu
dzisiaj naocznie cię poznałem
przebrnąłem przez ścieżki
(zachceń i zachwyty)
zapachy które pragnąłem wyczuć
wyszperać w twojej skórze i w nadgarstku
rozdzielając pierze sukienki
by pogładzić mięsz
wydobyć pestki w czułości
dotknąć załączka w obietnicy
dzisiaj naocznie cię poznałem –
była p u s t k a
jałowość w skorupie
jak pliki słów którym matkowała
cybermistyfikacja

Inna nie patrzy prosto w oczy

ubrana w słowa z popeliny
jest jak żywność GMO
nafaszerowana chemią – pięknem na niby

inaczej niż my mruży oczy przed blaskiem
inaczej obchodzi się z widelcem i nożem
ma własny patent na krojenie kotletów
nawet na układ ust do pocałunku

jej ręka błądzi po umywalce
za szkłem kontaktowym
też zabłąkanym jak ona –
ma podwójnie czułą skórę
toczy bitwę ze światem
o własną tożsamość

Chwilo-byty

w naszym Asgardzie pokój pachnie zieloną herbatą i tobą
myśli poddają się aurze chwilo-bytu
efemeryda kilkunastu godzin zaklęta w kadrach zdjęć

za każdym razem jesteś jak deszcz i świeżość oceanu
rozpuszczasz moje emocje dochodząc do rdzenia
pukasz do niegdysiejszej Afrodyty
by pożyczyć sól namiętności
lub zakląć ją w ból kolejnych tęsknot

czeszę włosy porządkuję uczucia skraplam ciało
dusząco wabiącym zapachem Białej Perły

zdejmujesz go nader szybko jak stringi
czasem z szorstkim rewersem uśmiechu
chloneń ciebie i migotliwość chwili
najbardziej głodna w winne wieczory i poranki
muskam ustami plecy i uda jak Gaja gruzy ziemi
rozgarniam kolejne warstwy w poszukiwaniu skarbów
mierząc w byt poza horyzontem
Frigg z uśmiechem tkająca chmury

Katarina Lavmel

Hyde Park. Pomysł?

Pomysł! Taka oto analogia: Wojtek zapowiedział wojnę i wszystkim kapelom pozwolił wyjść z piwnic. Na światło. I światło to ujrzały wcale nie byle jakie pink flojdy. I może się komuś podobać poezja nie-moja, ale dla wielu młodych, postępujących się językiem współczesnym (no, wiadomo jakim), nie należy odbierać prawa, by ten język strzepili. Wprawdzie nie jest to poezja pod krawatem, ani niewyprasowana, warta jednak uwagi, czy komuś to się podoba, bądź vice wiersz.

A ile w tym gorzówku wierszy? Wystarczy pono oglądać się... bo raczej nie nasłuchać! Tu woli się, za przeproszeniem, kauem postużyć. Ale... każde ciało pedagogiczne to nie do pieszczota, jak każda dziewczica, co to dziewczicą chce być tylko na odległość. A jeżeli odległość jest mniejsza niż długość, to taka ona w ciążę zachodzi nawet przez telefon.

Może te wszystkie panie są uczulone na słowa, może te panie nigdy nie czytały Millera, Geneta, a nawet „Skirolawek”, ba!, nie oglądały „Emmanuelle” i nigdy się za młodu nie, ani inne krzaki. Nie wspomnę o „Głębokim gardle” i „Rzeźniku”. Mniszki one? Nie znają smaku spermawitu ani innej nalejegeby.

A gdyby tak przytoczyć dla przykładu Reja, Kochanowskiego, biskupa Krasickiego... One też by się obraziły? A biblijny Onan, dajmy na to, to co? Zresztą cała Biblia to wielka Sodomia i Gomora! i jeżeli pozwalam sobie na cokolwiek, to właśnie dlatego, że tam jest wszystko i tego wszystkiego się doczytałem. A jeżeli ktoś nie wierzy, niech do tej lektury jeszcze raz dosięgnie, a może po raz pierwszy. Inaczej nie ma o czym gadać. Mogę jedynie pogodzić się z tym ciemnogrodem, co nie znaczy, że mam się mu podporządkować.

Swego czasu powiedziałem, że Morawski napisał najlepszy wiersz o stanie wojennym. Uważam tak do dziś, bo nic lepszego nie przeczytałem. Żadne Zagajewskie, Barańczaki, Miłosze i inne furmany. Ale Morawski to nie świętość jeszcze i nigdy, bo koszaliński epizodzik można wyczytać w Dzienniku 54 Tyrmanda w wersji oryginalnej. I jeśli roztrzępana, bo zabiegana, red. Ochwat napisała, że nie jest to żadna literacka wielkość, to rację miała. Byłem pierwszym facetem, który wypożyczył Jego tomik wierszy, a powieść „Nie słuchajcie Alojzego Kotwy” przyniesiono mi do punktu skupu makulatury. Co mi o tym myśleć? Hmm... A po jednym ze spotkań Rzeszewscy, Stebliny, Świerczyński, Wieczorki i wielu innych klepało mnie po ramieniu, że powiedziałem, co powiedziałem. Jakby sami nie mogli! Otóż

oni powiedzieli, że Morawski być może mentorem był, ale pisarza w nim ociupinka. Nie chcieli obrażać żony POETY! Czy ja mogłem? Morawski mnie wiele nauczył, zatem pewnie mogłem. O Jego pisaniu. I takim wrzodem na dupie już pozostanę.

Ochwat, dziennikarka, odważyła się tę prawdę przybliżyć, ale co tam ona. Powiedziała, co powiedziała, co, na marginesie, powinien powiedzieć każdy, i nie bardzo wiem, kogo tym dotknęła. Jeżeli ma czym dotykać. Może to rozpasane grafomaństwo, ku któremu Morawski nawet nie skinąłby paluszkami, bo przecież by się utyłł w gównie, i to cholerne grafomaństwo się teraz chęłpi znajomością z (chciałem napisać mistrzem, ale nie będę ubliżał)...

I dlatego żal mi żony POETY. Na wyrost żal? Nie wiem, ale gdyby postuchała, co mówiło się o Zdzisławie, a czasami jeszcze się chłapie, pewnie by spokorniała, wszak każdy pomnik jest do obalenia, każde słowo można obejrzyć pod światło, każdą nawet poduchać myśl. Ależ mi się napisało! To zapewne z jakiegoś wiersza.

POCZTÓWKA ZE ŚWIECKA

Tuż przy granicy nad Odrą
pod ochroną linijek szos
i korpusu płożącej wierzby
w stronę równin sięgających Wuppertalu
krzyżówek aż po horyzont autobahnów
wysmukłych sosen posterunki
wspomagane szeregami zadziornych tarnin.
W kupieckim siodle
tranzytowa poczekalnia
z przytupem jak to na słowiańską barwę
odblask słońca
i celnych spojrzeń zza okularów ciemnych
jeszcze jakby mazurek
odpalany z hukiem pobitych garów.

Na terminalach fragmenty spojrzeń
skandujące melodie w nagłym trzepotaniu powiek
błysk felg
odbicia myśli
rzutem z jezior falującej składni
tych bocianów krążących jak motywy z filmów Wajdy.
W tchnieniu bogini władczej
przedśionku miast wietrznych i bezsennych portów
wobec lekcji esperanto
zrodzonych z silnikowych fanfar
powrotów na swojskim sprzęgle waleryany.

Dariusz Jacek Bednarczyk



CZASOPISMO LITERACKIE pod auspicjami
WiMBP i ZLP w Gorzowie Wielkopolskim

Red. nac.: Ireneusz Krzysztof Szmidt – tel. kom. 501 520 227,
sekretarz red. Danuta Zielińska – tel. 95 727 70 70. Współpraca: Jerzy
Alski, Bogdan Bloch, Anna Dominiak, Beata P. Klary, Krystyna
Kamińska, Ewa Rutkowska, Anna Sokółka. Grafika i rysunki:
Zbigniew Olchowik. Zdjęcia: Daniel Adamski, Bogdan Bloch, Jacek
Buczyński, Andrzej Kafuski, Hanna Kaup, Patryk Koryzna, Ewa
Kunicka, Kazimierz Ligocki, Marzena Maćkała, Arkadiusz Sikorski,
Artur Sobrero, I.K. Szmidt, Krzysztof Szymtkiewicz, Grzegorz
Tajsner oraz archiwa wydawcy i autorów.

Wydawcy: ZO ZLP, WiMBP im. Zbigniewa Herberta, ul. gen. Wł.
Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: informacja@wimbp.
gorzow.pl. e-mail red. nac: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp-gorzow.cba.pl
Skład komputerowy: Daniel Besta

Zasady współpracy

Przekazując materiały do redakcji czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski”, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w wersji online,
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich,
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych,
- ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów,
- zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

FERDYNAND GŁODZIK

Prorok Jendrasz na miarę epoki

Miast wtórnego przybycia Mesjasza,
Niebo zsyła Proroka Jendrasza,
choć o bożych zamysłach wie wszystko,
problem w tym, że on jest daltonistą.

W skromnym ludzkim wymiarze jest mały,
jego świat zawsze był czarno-biały,
w boskiej aurze, znaczonej barw tęczą,
jego oczy nadmiernie się męczą.



Z dzieła Stwórcy nie czerpie wszak wzorów,
bo mu obcy świat bożych kolorów,
ciska gromy, piętnuje, wyraża:
to zaraza!
Zaraza!
Zaraza!

Pośród światłych niezgody jest kością:
Czy Bóg gniewem jest czy też miłością?
Tajemnica do dziś nieodkryta:
O tempora,
Sancta simplicitas! *)

Gorzów Wlkp 31.08.2019 r.

*) *Sancta simplicitas*; O, święta naiwności, wykrzyknął 6 lipca 1415 r. podczas soboru w Konstancji czeski duchowny i profesor uniwersytetu w Pradze Jan Hus, gdy zobaczył pobożną kobietę, która choć mocno leciwa, to bardzo chętnie dokładała polana pod płonący stos, na którym za chwilę miał on spłonąć.



jarek-kozłowski.tumblr.com

FERDYNAND GŁODZIK

Z „Nowej Księgi Imion”

Helena

Duma, subtelność, dobroć anielska,
Matysiakowa, czy Modrzejewska?
Czy domowego strzeże ogniska,
czy też światowa wielka artystka?

Przeważnie zbiera laury, oklaski,
ale wrażliwa jest na porażki.
Choć trzyma fason i wielką klasę,
w drobne intrygi wdaje się czasem.

W walce objawia oblicze srogie;
przegra z kretesem, kto jest jej wrogiem.
Generał – cesarz dzielny szalenie,
jednak wykończył się na Helenie.

Stefan

Czy w wieku średnim, stary, młody,
Stefana żywioł to przygody,
zależnie gdzie go rzucą losy;
wspinaczki górskie, motocrossy.

Emocje sportu też przeżywa,
przed monitorem z kuflem piwa,
a pali go wewnętrzny ogień,
gdy pod kołami czuje drogę.

Trudno jest w ryzach go utrzymać,
robi to żona i rodzina,
choć mu niełatwo wytrwać w cnoście.
Bądź zdrow, Stefanie, stary trzypiecie!

Ireneusz

Bierze życie garściami, bo nie lubi pościć,
uczuciowy, subtelny i głodny czułości.
Jego silna wrażliwość na kobiece wdzięki,
to zarzewie radości lub pasmo udręki.

Marzy o odporności na niepowodzenia,
pod ich wpływem na długi chowa się do cienia,
za to sukces najmniejszy z miejsca go uskrzydla,
lubi laury, dyplomy i zapach kadzidła.

Warto z nim biesiadować, by mile czas spędzić,
bo zna wiele dowcipów, uwielbia gawędzić.
Pośród gości wyróżnia się wdziękiem, urodą,
i na każdej biesiadzie chce grać pannę młodą.

Gorzów Wlkp. 30.06.2019 r.